Nr. 13. Warszawa, dnia 20 Marca (1 Kwietnia) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70. kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi.

Numery **Prawdy** *z I-go kwartału są wyczerpane.*

Nowi abonenci tegoroczni mogą nabyć pierwszy tom dzieła, wychodzącego jako dodatek do **Prawdy**:

Syberya i ciężkie roboty.

Maksimowa, za rb. 1 k. 20.

POLITYKA.

Podział Sudanu.

Zjesieni r. z. zatarg o Faszodę zamiast grozy wojennej, przyniósł w zakończeniu swem całą błogość, jakiej doznają dzielący się łupem, którego wcale nawet zdobywać nie potrzebowali. „Sudan,“ ogromny płat ziemi afrykańskiej od pomorza odciętego na północ korytem Senegalu, na południe krainą Sierra-Leone, do porzecza Nilu, stał się przedmiotem podziału pomiędzy Francyą a Anglią: zachód zabiera pierwsze, wschód drugie mocarstwo. Linia przekroju, stanowiąca granicę między Sudanem francuskim a angielskim, biegnie wzdłuż wschodniego krańca krainy zwanej przez geografów Wadai, położonej pod Półwyspem Bałkańskim i południowemi Włochami, a sięgającej prawie 150 mil wzdłuż do 8-go równoleżnika północnego. Podział taki, bezpośrednio dotyczy tylko obszarów pogranicznych, świeżo zajętych, zajmowanych lub dopiero upatrzonych; dawniejsze bowiem posiadłości obu stron, po za linią graniczną nie potrzebowały nowego stwierdzenia swych prawnych tytułów.

Traktat podziałowy podpisali d. 21 marca w Paryżu minister spr. zagr. Francyi Delcasse i poseł angielski Monson. Głosy prasy francuskiej narzucają wiarę w ratyfikacyę ze strony Francyi; uznanie ostateczne przez Anglię, która kierowała układami, w nikim najmniejszej nie wywołuje wątpliwości: traktat jest już ostatecznym. Przykładając go do mapy geograficznej, spostrzega się odrazu całą tę lwią część, którą pochwycili dla siebie Anglicy. Wschodnia granica Wadaju jako kraniec posiadłości francuskich to Dar-Fur i Bahr-el-Ghazal, i sama owa sporna Faszoda z której sztandar francuski, nie chcąc się na hańbę narazić, dobrowolnie przed walką, w imię „interesu politycznego“ ustąpić musiał — i wreszcie całe porzecze południowego Nilu i jego niesłychanej obfitości doplywu, Bahr-el-Arabu — wszystko to jest już i na długie wieki pozostanie angielskiem. Marzenie niektórych polityków, a wszystkich podróżników, najskromniejszych nawet kapitaników francuskich, o państwie od Atlantyku do oceanu Indyjskiego — mocno już zamroczone przez sferę interesów włoskich, ogarniającą Abisynię, po tym nowym układzie zapada już w mrok zupełnej nicości. Nietylko od oceanu wschodnio-afrykańskiego, ale od Nilu Albion odsadził Francyę; pozwolił jej tylko na kantory kupieckie.

Traktat z d. 21 marca zawiera w sobie coś więcej jeszcze na niekorzyść Francyi: uznanie, z mocą prawniczej *praesumptio juris et de jure*, panowania angielskiego nad Nilem. Wszystkie te Dar-fury, Faszody. Bahr-el-Ghazale, które się teraz Anglii prawnie od Francyi dostają, są tylko dalszemi ciągami i zaokrągleniami Egiptu, trzymanego zrazu wbrew jej woli, obecnie już z milczącem przyzwoleniem, przez chciwych grabieży sąsiadów z za Kanału. Francya wprawdzie zyskuje rumowną pewność spokojnego posiadania wnętrza pomiędzy Zachodem a Wschodem, może bez starcia z Anglikami rozpościerać się w około jeziora Czad, macki swe z Adamauy swobodnie wyciągać ku wschodowi, aż do krańców zachodnich Darfuru; ale i Anglia odsuwa zachcianki i zamachy francuskie od wielkiego z przed r. 1880 Egiptu, który, więcej na papierze, niż w rzeczywistości i dzięki tylko podróżnikom, obejmował wszystkie krainy na południe i zachód od Chartumu leżące. Te tytuły prawne Izmaela, przejęte przez Anglię, potwierdza jej teraz właśnie rzeczpospolita. Żadna sofistyka nie wywróci tej prawdy, że polityka francuska w traktacie przechodzi pod jarzmem siły większej, zgadza się z losem, zostawia Anglikom to, co mieć chcą, co już zajęli i co jeszcze zająć muszą.

Do wielkiego Egiptu przyszłości angielskiej nad Nilem należy i Kordofan za Darfurem na wschód ciągnący się należy i na południe od Bahr-el-Ghazalu leżąca prowincya [illegible] w ogólnej masie terytoryalnej około 40,000 mil kwadr. Kordofan muszą Anglicy opanować, jeśli chcą stale utrzymać się w Chartumie, od północy i zachodu opasać Abisynię. a dostać się do Dar-furu: Bahr-el-Ghazalu i prowincyi podrównikowej wyrzec by się mogli tylko na rzecz Konga, które już teraz wstąpić ma w prawa dzierżawcy biorącego rzecz w najem od właściciela, od Anglii. Oczywiście, i obecny stosunek z Kongiem i wszelkie przyszłe miałyby tylko moc tymczasową. Gdyby Belgia ostatecznie obszaru nad wielką rzeką środkowo-afrykańską na samą siebie nie objęła, Anglia postara się o to, aby nigdy nie posiadła go Francya, mająca prawo pierwszeństwa w nabyciu. Z Konga francuskiego, z Gabunu, można się dostać do Wadaju, można nawet dotrzeć do Bahr-el-Homru: ale w wielorzeczu gazalskiem utknąć już będzie musiała największa przedsiębiorczość, jeśli nie zechce zmierzyć się z Anglią. I tak jeszcze pozostanie Francyi od Atlantyku do wschodniego krańca Wa-

dają niezmierzoną prawie przestrzeń pustyń, puszcz i oaz, której rozległość bez wielkiego błędu na jakię 50,000 mil oznaczyć można: ducha kolonizacyi cudów by tam dokonał. Tylko skąd wziąć tego ducha? Francuz go nie ma. Francuz potrzebuje prefekta i żołnierza, Francuz bez urzędnika ani się ruszy. Z pustki nie umie wyprowadzać cywilizacyi; potrzebuje już w niej być, aby działać, iść i posuwać się naprzód. Wszystkie te zdobycze zostaną martwemi dla narodu, jeśli z nich tylko podróżnicy korzystać będą. Zresztą Francya nie ma nadmiaru ludności; kolonie dotychczasowe doskonale jej wystarczają. Rozpraszając się po świecie, osłabia sobie siłę skupienia i rozprężliwości w Europie; zyskuje kolonie, a traci Alzacyę: utraci ją zupełnie, gdy jej już wcale pragnąć nie będzie. Wiedział Bismarck, co radzić Ferry'emu.

Tydzień polityczny. Ze sprawy San-munu wylęgła się dogodniejsza i dla rządu i dla sejmu włoskiego sprawa poprzedniego posła w Pekinie, p. Martino. Przekroczył atrybucye i instrukcye, czy nie? Tem zajmuje się polityka. W sprawie poważnej, zdaje się, że Włochy natrafiły na kamień, którego nie mogą odwalić. Anglia je popiera, ale nie myśli ich żądań przeprowadzać. Z pogawędki o Chinach w Izbie niższej d. 21 b. m. widać, że hasłem polityki angielskiej jest obecnie zgoda z Rosyą. Jeżeli przeto Rosya pozwoli Włochom zabrać zatokę, to ją będą mieli zgodnie z życzeniami, zapewne nieszczeremi, Anglii, jeżeli nie, to nie.

Otis na Luzonie posuwa się od Manili na północ. Pod Polo na rozciągłej już linii walczono w d. 19 i 20 b. m. Znaczne stosunkowo straty Amerykanów pokazują dzielność oporu krajowców, broniących się od błogosławieństw żarłocznego republikanizmu. Upadek etyczny człowieka dzisiejszego najjaskrawiej się maluje w tej walce republikanów z ludem niepodległym, który chcą w jarzmo swoje wtłoczyć. I na Kubie nie lepiej. Kubanie nie dostają tych 3 mil. dolarów, które im się należą na mocy umowy. Stany chcą, aby się pierwej rozzbroili, oni grożą walką z wybawcami.

Po świętach Niemcy austryaccy składają wielki wiec zjednoczenia. Układy z czeskimi rozbiły się znowu.

Na Węgrzech powstaje Ugron i zakłada nowe stronnictwo. Ugoda dochodzi, ale jeszcze nie doszła. Delegacye muszą już ją zastać dokonaną.

Papież wyzdrowiał, odprawił już mszę „o własnej sile."

We Francyi Fabre w senacie naciera na rząd o oficerów i ligę ojczyzny. Freycinet wyznał, że zrazu pozwolono oficerom wstępować. *Siecle* donosi, że Dupuy i Lebret oparli się uwięzieniu niegodziwca Paty du Clam: wspaniale!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LEKARZE NA PROWINCYI.

Do spraw najmniej uregulowanych w duchu potrzeb społeczeństwa, pomimo ciągłych jego nawoływań i żądań, należy pomoc lekarska. Zdawało by się, że powinna ona również wejść na porządek dzienny rozpraw Tow. hygienicznego. Dotąd jednak nie było tam o niej jeszcze żadnej wzmianki. Nie wyczerpano jej także całkowicie i nie sformułowano jasno na żadnym zjeździe lekarskim, nie roztrząsano w żadnem towarzystwie pracowników tej niwy. Tymczasem społeczeństwo gwałtownie domaga się reformy i równomiernego rozmieszczenia uprzystępnionej pomocy. Już niejednokrotnie zaznaczaliśmy ten znamienny fakt, że są miejscowości w kraju zupełnie pozbawione służby zdrowia, że tak zwana nadprodukcya lekarzy, która dziś przeraża interesowanych, nie jest wcale nadprodukcyą, lecz tylko nierównomiernem rozmieszczeniem, wynikającem z wyższych potrzeb kulturalnych ludzi wykształconych w uniwersytetach, a zarazem z braku zaparcia się siebie, jakie może cechować tylko prawdziwych i rzetelnych obywateli kraju. Lekarze skupiają się w wielkich miastach i wolą tam znosić niedostatek niż się poświęcić pracy śród jałowego i drobnostkowego życia na prowincyi. Istotnie, życie to nie jest wesołe i ponętne, warunki pracy nie rokują wielkiego powodzenia materyalnego, a tem bardziej — nie prowadzą do majątku. Zawód lekarza na prowincyi to jest najniewdzięczniejszy, najtwardszy kawałek chleba—to droga mozolna i uciążliwa, wymagająca nietylko poświęcenia prawdziwego lecz nadto wyjątkowych cech charakteru, wielkiego hartu i siły woli. To też tych lekarzy, którzy zdobyli wielkie uznanie i miłość społeczeństwa na prowincyi, zaliczyć można do prawdziwych bohaterów i najzasłużeńszych obywateli kraju. Dziwnym zbiegiem okoliczności ludzie tacy giną śmiercią bohaterską na stanowisku i śród niedostatku. Przed kilku laty w jednem z miasteczek umarł zacny młody doktór Sławiński wskutek zarażenia się tyfusem. Pogrzeb zaś jego był niezwykły i może jedyny w swoim rodzaju. Do kościoła wtargnęli nędzarze Żydzi chałatowi i porwawszy trumnę, na własnych barkach zanieśli ją na cmentarz, a liczne rzesze, rzucając grudki ziemi na mogiłę, szlochały. Podobny los spotkał przed kilku tygodniami doktora Jopkiewicza, w jednem z miasteczek gub. Radomskiej. Padł on również na stanowisku, zarażony tyfusem plamistym. I jego także odprowadzono na cmentarz ze łzami. Osierocił dzieci pozostawione bez żadnych środków materyalnych, gdyż mając do czynienia przeważnie z ludnością ubogą, leczył ją darmo, a nieraz na lekarstwa i strawę dawał z własnej kieszeni. To są bohaterowie, dla których w naszych pismach codziennych i tygodniowych niema miejsca obok śpiewaczek i „primabaleryn". To są ludzie, których „inteligencya" nie wieńczy wawrzynami, bo nie zajmują się estetyką, nie są mecenasami sztuki, nie prowadzą salonów literacko-artystycznych, nie wybierają sobie dowolnie pacyentów w pierwszorzędnych dzielnicach miasta, nie uprawiają wreszcie jednej specyalności, pozwalającej na urządzenie życia sybaryckiego. Lekarz na prowincyi, oddany szczerze swemu zawodowi, jest niewolnikiem ogółu, nie ma ani dnia, ani nocy. Odbywa

---

Jan Reibrach.

BRATERSTWO.

Gdy Hipolit upewnił się, że wiadomość jest prawdziwą i że policya rzeczywiście daje półtora franka za każdego psa dostawionego do oprawcy, pomyślał sobie, że chociaż „przedsiębiorstwa kieszonkowe" przynosiły mu nieco, z psów, jednak mógłby zarobić więcej. Ot weźmie się do tego interesu, na jakie dziesięć, dwanaście dni. Rzecz dobra, choćby dla zmiany.

Kupił za dwa su sznurek i zaczął wędrować po ulicach, szukając łupu. Zarządzenie władz wydało mu się bardzo stosownem. Wałęsające się psy — toż to stałe niebezpieczeństwo. Porządek winien panować na drogach. Mimo wydeptanych trzewików i obdartego odzienia, wezbrał dumą jak człowiek, który potrzebuje tylko schylić się, aby mieć półtora franka.

Po jakimś czasie stanął.

— Jak dla mnie pies — rzekł do siebie.

Przy kupie śmieci krążył buldog. Hipolit przygotował sznurek i zbliżył się łagodnie do zwierzęcia, wabiąc je. Lecz pies wyszczerzył zęby. Był rosły, odkrywał kły, których białość świadczyła o jego młodym wieku.

E, duży — powiedział sobie Hipolit. Musiałbym się mordować, ciągnąc go. Zostawmy go stójkowym.

Następnie spotkał psy mniejsze, ale, niestety, takie były szelmowskie, że ilekroć którego zawołał i obejrzał z bliska, cofał się zamiast zarzucać nań sznurek. Na pewno musiały być wściekłe. Zresztą skoro te bestye były jeszcze na wolności, to widocznie nikt nie śmiał ich dotknąć. Wyznał więc sobie, że byłby kapitalnie głupim, dając się pokąsać tym psom, których i inni bali się zaczepić.

Nareszcie zaczął myśleć, że polowanie na psy nie należy do zawodów tak łatwych, jak sądził. Nawet jął sarkać na policyę, przeczuwając, że właściwie urządziła ona zasadzkę na biedaków, aby ci goniąc za nędzną nagrodą, zostali pożarci przez duże psy. Bo na żadnej ulicy nie można było dojrzeć małego pieska. Wszystko tylko brytany albo buldogi. Dziękuję za podobne warunki.

Trapiony przez czarne myśli, Hipolit spostrzegł nagle chudego psa, brzydkiego, wylenałego. Drżał cały za najmniejszym szmerem. Był średniej wielkości, młody jeszcze, o niezgrabnych nogach i bojaźliwych oczach.

Hipolit założył mu sznurek na szyję i pociągnął za sobą. Pies, widocznie nieobznajomiony z podobną zabawą, opierał się z początku, wydłużywszy szyję i opuściwszy uszy na oczy. Lecz po kilku metrach zdawał się godzić z losem!

Nigdy zapewne nikt nim nie zajął się: a choć owa pierwsza oznaka zainteresowania się była nieco nagłą i brutalną, jednak zmieniała bieg myśli zwierzęcia. Samotność jego doznała w ten sposób przerwy, jakiegoś pokrzepienia obecnością towarzysza.

Pies przestał opierać się i ruszył równym krokiem, choć jeszcze nieśmiało, ze swoim przewodnikiem. Potem nabrał odwagi i ośmielił się na pieszczotę: potarł łapką o nogę człowieka.

Nie odwracając się nawet, Hipolit przyspieszył kroku. Pies zachwycony, że nie odebrał w odpowiedzi kopnięcia, szedł sobie teraz obok Hipolita ochoczo, z podniesionym ogonem, jak pies nie zgubiony, ale przeciwnie posiadający pana. I czy to z uciechy, czy też, aby okazać się pożytecznym albo miłym, począł szczekać na wozy i na przechodniów.

Od czasu do czasu próbował zatrzymać się przy jakiej kupie śmieci, przed kością. Hipolit pociągał go szorstko, lecz nieco dalej pies znów stawał. Wówczas Hipolit zauważył jego ruchy, znamionujące głód,

nieraz uciążliwe podróże na chłopskich wozach po słocie i grudzie. Głodny, zdrożony, zziębnięty, po kilku nocach niewyspanych, pasując się ze znużeniem, niesie pomoc chorym. I cóż zyskuje w rezultacie? Skutkiem wyczerpania traci odporność organizmu i, mając do czynienia z chorobami zaraźliwemi, najczęściej sam pada ich ofiarą. Lekarz taki przy całej uciążliwości i niebezpieczeństwie swego zawodu, należy do pracowników najbardziej i najbezwzględniej wyzyskiwanych. Obywatel ziemski, jako „znajomemu“, nieuważa za stosowne płacić, gospodarz poczty prowincyonalnej, wydawszy parę razy korespondencyę w godzinach pozaprzepisowych, czuje się upoważnionym również do żądania pomocy bezpłatnej. Inni zamożniejsi i inteligentni mieszkańcy wsi także bardzo często płacą dobrem słowem, lub obiadem i zaproszeniem do winta. Włościanie również często nie płacą, a ponieważ wzywają pomocy w ostatniej chwili, nieraz już do konającego, więc gdy lekarz stwierdza tylko fakt niechybnej śmierci, rodzina żegna go ze złorzeczeniem i nie chce odwieźć do domu. Dodajmy do tego drobne, wstrętne środki współzawodnictwa, walkę z ciemnotą i felczerami, brak towarzystwa odpowiedniego, brak pola do wzmacniania wiedzy specyalnej w (szpitalach, ambulatoryach), a będziemy mieli całkowity obraz życia lekarza na prowincyi. Dziwić się tedy nie można, że większość, nie czując w sobie powołania do pewnego rodzaju apostolstwa w dziedzinie zdrowia publicznego, starannie unika prowincyi i woli się borykać z ciężkimi warunkami bytu w wielkich miastach. Żadne najgorętsze nawoływania ażeby lekarze osiadali na prowincyi, żadne sposoby nawracania nie poskutkują cudownie, dopóki nie będą zmienione zasadniczo warunki bytu lekarzy na wsi, dopóki tam nie będzie uregulowane ich stanowisko i stosunek do ludności.

Przed kilku dniami *Birżewyja Wiedomosti* podały projekt, który mógłby zaradzić złemu przynajmniej w części. Oto osnowa tych wniosków: Z pomocą powinno przyjść przedewszystkiem prawodawstwo. Każdemu lekarzowi trzeba zapewnić pensyę, przynajmniej 1200 rb. rocznie (praktyka śród ludzi zamożnych stanowić ma osobną pozycyę dochodu). Utrzymanie to powinno spaść ciężarem równomiernym na skarb, miasta, ziemstwa lub inne instytucye. Obecnie, według spisu jednodniowego, całe państwo liczy 129,211,113 ludności i miejsc zaludnionych 551,297, a lekarzy i felczerów ogółem tylko 28,744. Przeciętna śmiertelność w państwie pochłania rocznie 1,781,127 ludzi. Odliczywszy kobiety, dzieci i inne kategorye, otrzymamy ogółem 50,000,000 ludności, zdatnej do opodatkowania. Niech tylko na każdego przypadnie po 20 kop. rocznie, a już urośnie olbrzymia suma 10,000,000 rb., która zapewni utrzymanie 8,333 lekarzom. Obecnie wszystkich lekarzy praktykujących w całem państwie jest 12,174. Jeżeli dziś na każdego z nich przypada przeciętnie 10,614 ludności, nad której zdrowiem czuwać trzeba, to po zdobyciu powyższego zasiłku i zwiększeniu armii broniącej zdrowia mas, na każdego lekarza przypadnie tylko 6,331 ludności.

Cyfry powyższe podaliśmy w przeciętnym rachunku. Gdybyśmy wzięli każdą gubernię lub każdy powiat osobno, znaleźlibyśmy stosunki bardzo różne i przekonalibyśmy się, że dotychczas jeszcze setki tysięcy ludzi znają lekarza z opowiadań, że jest to dla nich jakaś postać legendowa. Z wymienionych powyżej 12,174 lekarzy, znaczna ich liczba zamieniła się na urzędników, niezdatnych do praktyki w ścisłem znaczeniu. Większość tedy ludności pozostaje na opiece felczerów, których całe państwo liczy 16,568 i pod wpływem znachorów, których spis jednodniowy nie potrafił zliczyć.

Obowiązkowe zapewnienie pensyi lekarzom i tym sposobem znaczne zwiększenie ich liczby i równomierniejsze niż dotąd rozmieszczenie, to tylko wszakże jeden z zasadniczych warunków reformy. Pozostałoby jeszcze mnóstwo innych, a więc wzmocnienie pomocy szpitalnej, ambulatoryjnej i akuszeryjnej, okiełznanie samowoli felczerów, uregulowanie stosunku ogółu do lekarzy. Po za tem należałoby stworzyć na wsi rodzaj pogotowia ratunkowego. Każda wieś, osada, każde miasteczko, powinny zawsze posiadać wygodną bryczkę, czy też karetkę, parę dobrych koni i furmana, utrzymywanych kosztem gmin, miast i t. d. Tylko po wprowadzeniu takich reform i udogodnień można będzie regulować i wzmacniać skutecznie pomoc lekarską w dalszym ciągu.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Kółka włościańskie. — Wyjaśnienia komisyi kolonizacyjnej — Bank ratunkowy i stowarzyszenie parcelacyjne. — Memoryał duchowieństwa szląskiego.

Lud wiejski w W. Ks. Poznańskiem dotychczas jeszcze jest żywiołem zupełnie bezwładnym i mało uświadomionym w zakresie życia politycznego. Niemniej wszakże czuje on instynktowo potrzebę obrony wobec żywiołów mu wrogich, więc o ile może, walczy z nawałą germańską, posługującą się najbrutalniejszą siłą pięści. Po za tem lud polski bardzo chętnie przyjmuje wszelkie udoskonalenia kulturalne, jako czynniki podniesienia i rozwoju rolnictwa, a więc dające możność utrzymania się na ojcowiźnie. Niemałą rolę w tej mierze odegrały włościańskie kółka rolnicze, których liczba w obecnej chwili doszła już do 200. Są to ogniska, które przyciągają najdzielniejsze i najświatlejsze jednostki z ludu.

Niedawno właśnie w Poznaniu odbyło się doroczne zebranie ogólne prezesów i delegatów tych związków. Sprawozdania, odczytane na owym wiecu, stwierdzają, że śród włościan ujawnia się coraz większa dążność do pracy zbiorowej, że zebrania kółek są coraz liczniejsze, dzięki podniesieniu poziomu umysłowego ogółu włościan. Zwiedzają oni gospodarstwa godne uwagi i chętnie biorą udział w wystawach. Znamienna, zachowawcza natura chłopska, przyjmująca z ostrożnością lub niedowie-

---

oraz chudość. Bezwiednie począł snuć w swym umyśle porównania. Spojrzenia, które rzucał pies ku jatkom, gdzie wisiało czerwone mięso, przypominały mu podobne spojrzenia, ciskane przezeń wieczorami u drzwi gargotek.

I on nieraz czatował u progu sklepów, węszył u drzwi kuchennych; i on błąkał się nieraz całymi dniami szarpany głodem i po długich postach rzucał się żarłocznie na byle jakie jadło. Od zwierzęcia ku człowiekowi płynęło uczucie wspólnej biedy.

Ale Hipolit potrzebował trzydziestu su.

— Trudno — pomyślał — nędzarze muszą już żyć z nędzarzy. Takie prawo.

I ścisnął ramionami, zdobywszy się na ową filozofię, poczem wycedził przez zęby:

— Chodź, stary, to jeszcze najlepsze dla ciebie.

Spieszył się jeszcze bardziej.

Oprawca mieszkał daleko. Szli ulicami ogrzanemi przez słońce, obaj bladzi i nędzni, podwójny trąd wielkiego miasta— człowiek i zwierzę. Pies widocznie przylgnął do Hipolita. Zaprzestał swego błędnego kroku. Radość ożywiła ruch jego długich, miękkich łap. Zaczął podnosić je wysoko, biedz jak zaprzężony rumak, a co chwila głowa jego, u której boków tańczyły wesoło uszy, obracała się z rozczuleniem ku przewodnikowi.

Wtem Hipolit zwolnił kroku. Czy krępowały go wejrzenia psa? Czy może lato, podmuchy gorącego powietrza nadawały jego członkom omdlenie? Odbiegła go radość z powodu półtora franku. Całe zadowolenie rozchwiało się. Zdawało mu się, że miałby więcej odwagi okradać posiadaczów, niż prowadzić do oprawcy psy, biedne charlackie psy, które dręczyła nędza, jak jego. Braterstwo nędzy rozszerzyło się teraz między nim i pieskiem. Utkwiło w nim tak dziwnie, że odwracał oczy od zwierzęcia i uderzył je za pieszczoty.

Lecz zaraz zmiękł znowu. Pies przestał łasić się i stąpał z jakąś rezygnacyą. Stawiał równo kroki, czasem tylko podnosił głowę.

Hipolit w swojem życiu paryasa, żyjącego to z kradzieży, to z dziewcząt, nie czuł w sobie nic innego nad instynkt walki. Z przyjaźni znał tylko spółki, które trwały do podziału zdobyczy; w miłości pięścią przyswajał sobie posiadanie. Nic uczciwego nie zawrzało nigdy w jego duszy. Tymczasem z wejrzenia psa wyłaniało się coś nieznanego mu dotąd i jakaś słodycz poczynała krążyć w jego żyłach. Czy dlatego, że miał czyjeś życie w ręku, czy że czuł oddanie się stworzenia?

Hipolit zwolnił jeszcze chodu. Do oprawcy było parę kroków. Z kilku stron ludzie ciągnęli tam psy. Niepokój zmarszczył czoło psa Hipolita, instynkt zatrzymał go. Począł wietrzyć, następnie wyprężył nogi, opierając się. W jego postawie oczekiwania, prośby i przestrachu występowało jakby zrozumienie stanu rzeczy: biedne zwierzę rzucało wejrzenie niemal ludzkie, pełne błagań i trwogi.

Tym razem Hipolitowi brakło odwagi. Czuł litość i zarazem wstyd, jakby po spełnieniu zdrady. Schylił się, odwiązał sznurek. Człowiek i zwierzę wymienili nieokreślone wejrzenie. Potem pies poruszył ogonem i oddalił się szybkim biegiem, węsząc i cisnąc się do murów.

Jednak Hipolit sądził, że musi żyć. Rezygnując z psów błąkających się, stworzonych do wolnej walki i jak on trapionych głodem, zwrócił się ku psom bogaczów, psom tłustym, pielęgnowanym, czesanym. Polował na nie zaciekle, chwytał je u bram domów, w podjazdach, u drzwi mieszkań, brał je niemal z kolan dam. Gdy miały kagańce, zdzierał je i sprzedawał zarówno jak obroże. A przybywając do oprawcy, wysyłał na śmierć małe charciki i opasłych pinczerów z chichotem zadowolonej nienawiści.

Tłom. *W. Bagiel.*

rzaniem wszelkie zdobycze nauki zastosowane w gospodarstwie -śród ludu poznańskiego coraz bardziej zanikać zaczyna. Przeciwnie, przyjmuje on chętnie wszelkie wzkazówki, ulepsza chów koni, bydła, trzody chlewnej. Użyźnianie pól i łąk nawozami sztucznymi, zadawanie paszy skoncentrowanej w braku siana — nie należy już dziś do rzadkości. Osuszanie pól mokrych i zimnych sączkami przyjęło się w gospodarstwach chłopskich niemal powszechnie. Dzięki temu, plony w stosunku do lat poprzednich zwiększyły się w dwójnasob, a nawet i więcej; również wzrosła wydajność łąk ulepszonych. Opornie szło z rachunkowością, tak iż stracono na razie nadzieję, czy wszelkie usiłowania w tej mierze przyniosą jakikolwiek skutek. Obecnie wszakże trudności te podobno zaczynają znikać; tu i owdzie lud dał się przekonać i zastosował u siebie ten ważny środek regulowania interesów gospodarstwa. Dzięki temu zaczyna produkcyjniej pracować i umiejętniej zużytkowywać swoje zasoby. Z systematycznie udzielanej nauki na posiedzeniach kółek oraz z odczytów, wygłaszanych przez członków na zebraniach powiatowych i ogólnych (w Poznaniu) lud umie korzystać i daje tego dowody w praktyce.

Tak głoszą sprawozdania. Naturalnie tego pomyślnego stanu nie można brać za normę dla całej ludności włościańskiej w W. Ks. Poznanskiem. Sprawozdania bowiem mówią tylko o terytoryach działalności kółek i kładą nacisk jedynie na garść dodatnich wyników. Bądź co bądź lud ekonomicznie rozwija się coraz bardziej, wyrabia w sobie coraz większe poczucie solidarności i coraz bardziej dąży do oświaty. Nie może tylko się uwolnić z pieluszek i powijaków, w których trzymają go różne niańki powołane i niepowołane. Ale i pod tym względem daje się zauważyć już tu i owdzie pewna dążność do samodzielności.

Mniejszą odpornością względem ataku niemczyzny odznaczają się ci, którzy chcą być opiekunami ludu. Ich cnoty obywatelskie i patryotyczne wybornie wyprobowała komisya kolonizacyjna. Dowiodła ona, jak wielki jest procent tych, którzy nie mogą się oprzeć pokusie oraz tych, którzy uciekają się do pomocy tej instytucyi germanizacyjnej „z rozpaczy“ ratując się od zupełnej ruiny ekonomicznej, lekkomyślnie samochcąc wywołanej. Ci wszyscy niedołężni i słabi duchem już odpadli i teraz komisya jest w takim kłopocie, że aż musi się tłomaczyć i oczyszczać z zarzutów, publicznie i prywatnie jej robionych z tego powodu, że wbrew zasadzie niemczenia kresów wschodnich, nabywa majątki ziemskie przeważnie z rąk niemieckich. Rzeczniczką oskarżonej stał się organ półurzędowy, *Schlesische Zeitung*, który w taki sposób wyjaśnia stan obecny. Do r. 1896 z majątków ofiarowanych komisyi na sprzedaż prawie połowa była własnością Polaków. Następnie procent dóbr zaofiarowanych zaczyna spadać gwałtownie. W roku przeszłym liczba ofert złożonych komisyi przez Polaków, była już o sześć razy mniejszą niż w r. 1890. Według wyjaśnień organu powyższego, zjawisko to pochodzi stąd, że już ubyło bardzo wiele majątków polskich w obu prowincyach kolonizowanych. Pozostali przeważnie tylko ci, którzy uważają za obowiązek obywatelski trzymać się ziemi, do czego zresztą dopomaga im więcej dobrobyt, niż hart i siła woli i poczucie obowiąz :ów wyższych. Co do znacznej liczby zaofiarowanych dóbr niemieckich, komisya tłomaczy się w ten sposób, że dziś już niemiecka własność wielka przerosła bozebnie polską w Prusach Zachodnich dziesięć razy, a w W. Ks. Poznańskiem o 10%. Zresztą komisya nie nabywała i nie nabywa majątków przeważnie od Niemców. W pierwszych osmiu latach swej działalności głównie wydzierała ziemię Polakom. W latach 1894 i 1895 majątki polskie spadły do 46, względnie 13% ogólnej ilości ziemi, nabytej przez komisyę. W następnych dwóch latach procent ten wzrasta do 51, względnie 60%, w r. 1898 spada znowu do 13%.

Schlesische Zeitung tłomaczy oskarżycielom komisyi, że niepodobna poprzestawać na nabywaniu majątków polskich bez wprowadzenia przymusowego wywłaszczania Polaków. W Prusach zachodnich tak mało już jest dóbr polskich, że chcąc zadość uczynić programowi, komisya musiałaby zawiesić obecnie swoją działalność. Nabywając majątki od Niemców, nie płaci ona cen wygórowanych. W r. 1893 płacono za hektar (2 morgi) przeszło 1000 marek, r. 1897 i 1898-go — 1128 m. Zresztą ceny muszą być rozmaite, czasem znacznie wyższe, gdyż zależą one ściśle od gatunku ziemi i stopnia kultury. Bądź co bądź komisya zapewnia, że zaws'e ma w pogotowiu tarany do rozbijania własności polskiej i że nie zaniedbuje żadnych środków, dążących do wyparcia żywiołu polskiego z roli. Pod tym względem komisya zastrzega sobie swobodę działania, gdyż wszelkie w tej mierze skrępowanie wpłynąć może na podniesienie cen ziemi, a więc na wzbogacenie Polaków, co przecież byłoby wbrew dążności germanizacyi i hakatyzmu, mającej na celu zupełne zniszczenie ekonomiczne żywiołu polskiego. Taka tendencya, dość wyraźnie i bezczelnie przegląda z wyjaśnień komisyi na szpaltach *Schlesische Zeitung*.

W W. Ks. Poznanskiem, jak wiadomo, istnieje instytucya przeciwdziałająca komisyi kolonizacyjnej, Bank ratunkowy, który wszakże nie może skutecznie walczyć z niemiecką organizacyą wywłaszczania, bo tamta posiada olbrzymie środki materyalne, wszelkie poparcie rządu i zupełną swobodę, gdym tymczasem Bank ratunkowy, mając skromne fundusze, musi jeszcze pokonywać wiele trudności, stawianych przez rząd na każdym kroku. Przytem działalność jego nie ogarnia całego pola walki. Nabywa on przeważnie dobra wielkie i działkując je, utrwala na roli osadników polskich. Tymczasem drobni posiadacze pozostawieni byli bez wszelkiej pomocy w tej mierze. Musiano tedy stworzyć instytucyę dodatkową, mianowicie tak zwaną „parcelacyjną spółkę rolników“. Powstała ona przed kilku laty w Poznaniu i wzięła w opiekę włościan. Reguluje ich hypoteki, pośredniczy w zaciąganiu pożyczek długoterminowych na warunkach przystępnych i t. d. Jest to stowarzyszenie z ograniczoną odpowiedzialnością uczestników. Udziały wynoszą po 200 marek, ale posiadacz każdego udziału odpowiada do wysokości 500 m., jeżeli spółka zbankrutuje. Do tego jednak przyjść łatwo nie może, gdyż spółka pożycza tylko na hypoteki. Miarą wzrostu powodzenia tej instytucyi jest wzrost dywidendy, która w r. 1898 wynosiła 7%, w 1896 i 1897 — 7%, w 1898 — 8%. W końcu r. 1894 spółka liczyła 74 członków, a kapitał, wypłacony na udziały, wynosił 3,735 m. W r. 1895 liczba członków wzrosła już do 151, a kapitał do 11,848. Wreszcie w roku przeszłym liczba członków dosięgła 276, a kapitał 155,790 m. Ponieważ oprócz nabywania udziałów (nie więcej wszakże, niż po 25 na jedną osobę) można umieszczać kapitały na procenty jako depozyt, — więc spółka zdołała zaskarbić zaufanie ogółu o tyle, że ulokowano w niej 77,778 m. W stosunku wszakże do potrzeb sumy te tak są niewielkie, że cała spółka wygląda jak mały szaniec bohaterów, otoczony armią wrogów.

Inny charakter, choć ten sam cel mają szańce, sypane w obronie języka polskiego. Niedawno duchowieństwo ze Szląska górnego wystosowało do pruskiego ministeryum spraw wewnętrznych memoryał, dopominający się o prawo obywatelstwa języka polskiego w szkołach lu owych przy nauce religii. Autorowie me ioryału starają się zbić twierdzenie niektórych polityków pruskich, że język ludowy szląski, tak zwany *Wasser-polnisch*, jes gwarą. Oto są wywody, które mają trafić do przekonania ministra: „Gwara, po oderwaniu Szląska od Polski, powstrzymała się w rozwoju, ponieważ nie mogła się rozwijać bez związku z wyższą szkołą, z wyższymi stanami polskimi, a szczególnie ze szlachtą. Kiedy w toku tego stulecia przemysł doszedł tu do tak wysokiego rozwoju, że górny szlązak nie miał sposobności na to, ani dostatecznej wiedzy, żeby nowe wyrażenia przemysłowe i techniczne przetłomaczyć na własny język, dlatego przyjął wyrażenia niemieckie, dając im kształty polskie. A jeżeli się to chce nazwać dyalektem górnoszlązkim, zauważyć trzeba, że dyalekt ten bynajmniej nie jes tak różnym od polskiego języka pisanego jak liczne dyalekty niemieckie ze wsi, od piśmiennego języka niemieckiego. Ję:k piśmienny zaś na Górnym Szlązku jest tak samo polskim, jak w Poznaniu, Warszawie i Krakowie; a mianowicie książki do nabożeństwa, historye biblijne i katechizmy drukują się w czystej polszczyźnie“.

„Jest bądź co bądź faktem niezbitym, że w polskich rodzinach Górn go Szlązka tylko po polsku się mówi. A jeżeli mężczyźni, którzy służyli wojskowo, a teraz pracują wspólnie z niemieckimi towarzyszami, od biedy nauczyli się po niemiecku, inaczej jest przeważnie u kobiet, a przecież od matki najprzód poznaje dziecko Boga i modlić się uczy. Zamiast przywiązywać do tych pojęć religijnych i ćwiczeń domu rodzicielskiego, szkoła przecina ten rozwój religijny, ponieważ z małymi wyjątkami nauka religii na stopniu niższym odbywa się po niemiecku. Rodzice zaś nie mogą pomagać dzieciom w niemieckiej nauce religii.“

Charakterystyczna jest ta okoliczność, że większa część księży, podpisanych na memoryale, należy do narodowości niemieckiej, a nawet podobno wielu z nich przybyło na Szlązk z innych prowincyj niemieckich. Chodzi im właściwie nie o język polski, lecz o religijne i etyczne wychowanie ludności. Można wszakże z góry twierdzić, że pomimo tych motywów, nawet lekkiej wzmianki o „agitacyi polskiej“ na Szlązku, prośba nie będzie uwzględniona w sferach ministeryalnych.

et.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Polski dramat. — Konkurs Wydziału krajowego. — W sieci. — Dla szczęścia. — Maeterlinck — Wystawa prac Kossaka. — Muzeum historyczne. — 500-letni jubileusz Uniw. krak.

Mamy więc polski dramat. Mamy autora, który nie naśladując ani Ibsena, ani Hauptmana, ani Maeterlincka, daje nam dzieło sceniczne o wspaniałej akcyi, niesłychanie głębokiej psychologii i to w tak zupełnie nowej, oryginalnej formie, że najświetniejsze możemy sobie na twórczości jego budować nadzieje.

Dramat, o którym mówię, nie wypłynął z konkursu Wydziału krajowego, pomimo zapowiedzi, że z ogromnej liczby sztuk nadesłanych (około 60) wypłynie na pewno niejeden utwór poważnego talentu. Niestety! Z pięciu sztuk zaleconych do grania, dwie wystawione w Krakowie upadły odrazu.

Autorem, tak wiele obiecującym, jest p. J. A. Kisielowski, którego dramat „W sieci“ sędziowie konkursu *Kuryera Codzien-*

nego „pozwolili grać.“ Czy ze wspomnianego wyżej turnieju wyjdzie dramat, któryby miał wyższą a choćby równą temu wartość — śmiem wątpić. Jest to dzieło, z którego bije taka siła twórcza, że zazwyczaj więcej, niż jeden talent równej mocy nie zjawia się jednocześnie.

Temat nie nowy — walka utalentowanej, artystycznej duszy z otoczeniem uczciwem, często sympatycznem, ale niewychodzącem po za zakres codziennych potrzeb i codziennej moralności. Oczywiście jednostka, jak to najczęściej bywa, zwłaszcza jeśli nią jest kobieta, ulega; ale zarówno sama marnieje, jak i dla otoczenia swego nieszczęściem się staje.

Temat, powtarzam, nienowy, ale nową jest zarówno forma, jak i oświetlenie ludzi, którzy w dramacie żyją, walczą, cierpią i śmieją się. Tak, śmieją się, bo cała sztuka tchnie wesołością i życiem — tylko chwilami wpada w to życie i w tę wesołość ostry krzyk aż do najskrytszych głębin — udręczonej duszy ludzkiej.

Jednocześnie prawie wystawił p. St. Przybyszewski dramat swój, przerobiony z oryginału niemieckiego p. t. „Dla szczęścia.“ Dzieło to, jak wszystko, co wychodzi z pod jego pióra, napisane jest z ogromną siłą — przepysznym językiem i niesłychanym artyzmem w odtwarzaniu stanów duszy ludzi subtelnych a słabych, targanych przez nieubłagane starcia życiowe.

Oba dramaty były bardzo oklaskiwane i autorowie przez publiczność niezliczone razy wywoływani. Mimo to po kilku przedstawieniach zeszły, przynajmniej na jakiś czas, ze sceny. Nie dziwnego—Kraków jest małem miasteczkiem, ciągle jedni i ci sami do teatru chodzą, a można być kilka razy na „Królowej przedmieścia,“ ale na poważny dramat przecież żaden człowiek szanujący swoje nerwy i mózg, dwakroć nie pójdzie, bo by je zanadto nadwyrężył wzruszaniem się i myśleniem.

Wystawiono w teatrze naszym dramat Maeterlincka: „Wnętrze.“ Poprzedzony bardzo barwnym i głęboko symbolicznym odczytem p. St. Przybyszewskiego, zainteresował wielce inteligencyę krakowską. Ale nie doszliśmy jeszcze do odczuwania niesłychanej subtelności dzieł tego poety, które co prawda do przedstawienia na scenie zupełnie się nie nadają.

Towarzystwo sztuk pięknych powzięło myśl uczczenia pamięci zgasłego niedawno Juliusza Kossaka zbiorową wystawą jego prac.

Rada miejska uchwaliła założenie muzeum historycznego w Krakowie. Wybrano ks. kanonika Bąkowskiego, który ma zająć się wprowadzeniem tej uchwały w życie. Fundusze na początek gmina wyasygnowała. Mówiono także o założeniu muzeum szkolnego zarówno historycznego, jak i z doby bieżącej, ale na razie sprawa ta ucichła. A szkoda, byłaby to bardzo pożyteczna rzecz, która możeby przełamała obojętność naszego społeczeństwa dla spraw szkolnych.

Przygotowywa się na rok przyszły jubileusz 500-letniego istnienia wszechnicy krakowskiej. Młodzież uniwersytecka uchwaliła wydanie książki pamiątkowej w celu uczczenia tej wielkiej rocznicy. Pożądanem by jednak było, żeby nietylko hymny pochwalne, nietylko z wybranych kłosów upleciono wieńce przystroiły to wielkie święto, ale żeby zarazem cała działalność Uniwersytetu Jagiellońskiego we wszystkich dodatnich i ujemnych przejawach znalazła swego historyka i bezstronnego krytyka.

Cucu.

O SZTUCE I NIE-SZTUCE.

(Luźne uwagi profana).

III.

Nowi ludzie i nowe bogi! Nastrój stał się cielcem, któremu winniśmy palić kadzidła i z głębin ducha wołać: hosanna! Zresztą nie tyle nowe bogi, ile nowe nazwy dla pojęć odwiecznych, bo nastrój kryje pod swoją etykietą zmodernizowaną lirykę.

Nastrój! Dotychczas tylko muzyka uchodziła za sztukę, oddającą „rzeczy w słowa nieujęte.“ Owe subtelne omdlenia błogości lub bolesne spazmy wzruszeń, nie wiadomo skąd powstające, owe rzewne tęsknoty, kiedy całe jestestwo pragnęłoby lecieć daleko w przestwory, puściwszy myśli jako wody bieżące, i

[illegible]
wyciągnąć ramiona i przylgnąć płomieniem...

wszystkie te bezimienne, niejasne, bezosobiste rzekłbym podmuchy ducha muzyka umiała zakląć w dźwięczne akordy, to smutkiem przejmujące jaźń naszą, to jak buczący potok niosące ją w nadmiarze życia.

Nastrój! I poezya a nawet malarstwo pragną być nastrojowemi, obie sztuki z natury swojej członkowane, jedna oparta na połączeniu linij i barw, druga istot skończonych — wyrazów. Nawet najbardziej nieuchwytne stany, ażeby przybrały szatę barwną na płótnie lub zakrzepły w słowach, muszą porzucić nieokreśloność a zamienić się na spójnię rozczłonkowanych, tj. zindywidualizowanych wrażeń. Czy „dźwięk ma się wiązać z dźwiękiem, barwa z barwą,“ czy ma się dziać inaczej i czy „dźwięk może i wywołuje rzeczywiście potopy barw“

...Les parfums, les coleurs et les sons se repondent
Il est des parfums frais comme des chairs des „en-
[illegible]
Doux comme hautbois, verts comme prairies.
Et d'autres corrompus, riches et triomphants
Ayant expansion des choses infinis...

to przecież w jednym i w drugim przypadku artysta musi nadać kształty zindywidualizowane przypływom i odpływom „mórz swoich wewnętrznych.“ Połączenia barw z barwami, lub barw z dźwiękami muszą być takie, ażeby nas wzruszyły — sztuka z natury swojej społeczna, nietylko polega na napięciu energii w duszy artysty, ale także na napięciu wzruszenia lub wrażenia, jakie pozostawia w cudzej jaźni. Ktoś może czuć głęboko, bardzo głęboko: dopóki nie zdoła innym udzielić swego dreszczu za pomocą dzieł swoich, jest jako orzeł, któremu nie wyrosły skrzydła, a może nawet jako indyk, który nadął wole. Utwory sztuki powinny silnie działać na innych — to pierwsza a może i ostatnia zasada całej estetyki.

Kierunki twórcze poznaje się nie z ich teoryi, lecz z czynu. Sięgniemy do wzorów, przyczem weźmiemy nie arcydzieło artyzmu, tylko karykaturę. Jej właśnie ułomności dadzą nam najlepsze pojęcie o tem, co ukrywa się w głębi zmodernizowanej poezyi. Utwór nosi nazwę: powinowactwo cieni i kwiatów o zmierzchu.

O, korowody umarłych cieni
Wśród wirowań eterów przestrzeni,
O, płynące kaskady
Pod zamyślonych iw czarne arkady!
O, bez skrzypcowych łkań
Tańce gwiazd pod oponą niebiosów,
O, pląsy pełne migotań i drgań
Świetlaków wśród kwiecia zapomnień
Lubicie kamelie, [i wrzosów!
— Ofelie?
Czekające na wiatrów podmuchy,
— Izydoro?
[illegible]
Na szkarłatach królewskich lilie,
[illegible]
Tuberozy, co czarem odurzeń tchną
[illegible]
O, korowody umarłych cieni
— Ofelie, Izydora, Lenora, Emilie, Ninon
Wśród wirowań eterów przestrzeni
O, płynące kaskady
Pod zamyślonych iw czarne arkady!
Księżyca łódź pomyka w dal,
Unosząc kwiaciarkę w zaświaty —
Mróz warzy kwiaty,
Kamelie, akacye, lilie, tuberozy —
Najdroższych kwiatów jakżeż jej żal!
O, bez skrzypcowych łkań
Tańce gwiazd pod oponą niebiosów,
O, pląsy, pełne migotań i drgań
Świetlaków wśród kwiecia zapomnień
[i wrzosów!

Karykatura ta nowego ducha wywołała w prasie naszej liczne żarty, ktoś nawet rzekł, iż ma wrażenie, jakby „czytał koleją wyrazy: koń, musztarda — awangarda, pularda — zbroję, jedwo stoję.“ Ale żart na stronę! Poeta nie jest orłem, i nawet nie jest orłem ze złamanemi skrzydłami! Może pisarz wzruszony, ale zapał wewnętrzny nadął mu tylko wole — nic więcej. Jednak pod tą nieudolną próbą ukrywa się jądro, mające większą pożywność. Jeden z przyjaciół niefortunnego karykaturzysty postarał się wyjaśnić stan ducha twórcy „awangardy-pulardy,“ a zrobił to w formie niezaprzecznie artystycznej.

Posłuchajmy komentatora:

„Poeta siedzi w cieplarni, może w mrocznej komnacie starego zamku, może w bajecznym jakimś ogrodzie — a może, dodajmy od siebie, w zwykłym mieszczańskim saloniku i, zamiast rzeczywistego uczucia i naturalnego polotu wyobraźni, urządza pozę. Pełno kwiatów dokoła niego, przepyszne kamelie, odurzające akacye w pełnym rozkwicie; czernieje „szkarłat królewskich lilij,“ tuberozy, co tchną czarem odurzeń — nad nim „tańce gwiazd pod oponą niebiosów, tańce nie potrzebujące skrzypcowych łkań,“ a w czarownych mrokach „pląsy świetlaków.“

...A woń kwiatów, „kaskady“ woni, „płynące pod zamyślonych iw czarne arkady,“ czarowny cud rajskiego ogrodu, bezgłośne pląsy gwiazd, hypnotyzujące migotania świętojańskich robaczków, wszystko to wywołuje w duszy poety senny zachwyt i senne omdlenie: zamyka oczy, czar odurzenia potężnieje i w tem rozkosznem ubezwładnieniu zmysłów otwiera się głąb duszy i, dodajmy od siebie, poeta widzi w ciemnościach nietylko barwy kwiatów, ich szkarłaty, ale także każe kameliom i akacyom i tuberozom kwitnąć jednocześnie, co w pospolitej, nie zmodernizowanej przyrodzie się nie zdarza. Przed jego okiem wewnętrznem przesuwają się „korowody umarłych cieni:“ woń kamelii wywołuje postać Ofelii, bo kiedyś może stroiła się kochanka poety w przepych tego kwiecia. „Akacyowe puchy“ czarują w sennej duszy postać Leonory, bo kiedyś może w upajającem odurzeniu wiosennych wieczorów błądził z nią długo w bezmiernych alejach akacyowych, a parne tuberozy spowiły się na zawsze z nikłą a tajemniczą Ninon, co na łożu kwiecia tuberozy w lubieżnych drganiach rozciągnęła swój nagi przepych.

...I płyną, płyną bezustannie te korowody umarłych cieni, przesuwają się postacie w nieskończonym szeregu przed jego duszą, coraz to nowa woń świeżych kwiatów spływa bezwiednie w jego nerwy i ucieleśnia coraz to nowe postacie — naraz opar pierzcha, oczy się otwierają — „księżyca łódź pomyka w dal,“ rozpływają się senne widziadła, giną, nikną. Ach, jak im żal, że już ginąć muszą.

Tak brzmi komentarz uczonego talmudzisty, za pomocą biednego mózgu usiłującego wprowadzić w naszą jaźń profanów

nieistniejące w utworze pierwiastki energii i wyjaśnić zawarte tam znaki kabalistyczne. Wyjaśnienia swoje on kończy:

„I proszę mi powiedzieć, czy to nie cudownie piękne? Co w tem jest śmieszne, co chorobliwe, co głupie?

„To tylko poecie zarzucić można, że nie pisze dla bezmyślnego tłumu, w którego duszy ani zmierzch ani woń kwiatów, ani odurzający czar wiosennych gwiazd żadnego oddźwięku znaleźć nie może, bo dusza jego jest za tępą.“

Istotnie, co jest w tem śmiesznego, że wszechmocna, a tak kapryśna, przyroda komuś dała czucia i podmuchy, lecz nie udzieliła mu skrzydeł orlich, a tylko wola indycze? Przykra rzecz, nawet arcyprzykra! I także, co w tem jest śmiesznego, iż ktoś zamiast czuć utwór nerwacyą swoją, czuje go przy pomocy cerebracyi? Jeśli to jest artysta, znowu rzecz smutna, arcysmutna! To nie sztuka, bo ona nie zna utworów robionych, tylko odczute, bo wymaga, ażeby artysta potrącić umiał przygnębione, zahukane „absolutny“ naszych jaźni, przedewszystkiem zaś, ażeby grono poetów, zszedłszy się pospołu, mogło spojrzeć sobie w oczy w poczuciu, iż w ich utworach zakrzepły prawdziwe, tj. odczute, istotnie z głębin pochodzące podmuchy. My, profani uwielbiający dzieła sztuki, pragnęlibyśmy, ażeby byli oni jako kapłani, czyści naturalnością uczucia, nie zaś augurami, z pode łba na siebie patrzącymi i czującymi, iż kłamią uczuciem nieposiadanem. Są utwory, nawet mało udolne, które nas wzruszają, wzruszają zaś dlatego, iż czujemy, że nie są „robione.“

Po komentarzach nieco teoryi, tj. kawałek biednego mózgu.

„Dusza jest jedyna i niepodzielna, jej uświadomiona cząsteczka potrzebuje tych kilku biednych zmysłów, ale po za zmysłami tkwi jeden niepodzielny organ, w którym miliony zmysłów się przenikają.

„Dźwięk jest tam równocześnie barwą i wonią i wszystkiem tem, na co w mowie niema wyrażenia.

„W tej głębi, w absolutnej świadomości tracą wartość wszystkie skojarzenia myślowe, stworzone za pomocą zmysłów, a kojarzą się nowe, jedynie rzeczywiste związki i połączenia uczuciowe.

„Do tej głębi, do tej absolutnej świadomości, dotrzeć, do niej wniknąć pragniemy.

„Za pomocą nie zmysłowego, ale uczuciowego kojarzenia wrażeń roztworzyć pragniemy nowe widnokręgi, odsłonić rzeczy tajne i w słowa nieujęte. „Metoda, jaką tu na razie się posługujemy, to oddawanie i odtwarzanie uczuć, myśli, wrażeń, snów, wizyi bezpośrednio jak się w duszy przejawiają, bez logicznych związków, we wszystkich ich gwałtownych przeskokach i skojarzeniach.

„Po za tem wszystkiem, co się głupiemu mózgowi mieszczaństwa śmiesznym idyotyzmem wydaje, kryje się właśnie głębia.“

Czego poeta nie powiedział utworem swoim, to wyjaśnił komentator—dobitnie, nawet świetnie, przy pośrednictwie biednego mózgu. I jako czyimś postulatom, przyznajemy temu głosowi zupełne prawo, byleby w przyszłości obdarzył nas arcydziełami, nie zaś karykaturami. Zrobilibyśmy tylko jedno zastrzeżenie w obronie mózgu mieszczańskiego, a raczej sprostowanie, mianowicie, iż on dzisiaj *par excellence* jest modernistą i organem „stimmungs-menschów,“ mózg niemieszczański zaś zwraca się ku Hauptmanom.

Wiemy więc teraz, na czem polega duch nowy.

Pragnie przedewszystkiem być pewną odmianą liryzmu — lub nawet nie-liryzmu, biorącego akordy z „absolutnej świadomości,“ w której tracą wartość „wszelkie asocyacye zmysłowe, a kojarzą się uczuciowe.“

Swobody dla niego!

Albo stworzy arcydzieła, co nie jest wykluczonem, albo starga siły w pogoni za nadaniem połączeniu wyrazów treści nieuchwytnej, ale umiejącej poruszać struny zaniedbanych, połamanych harf w duszy [illegible].

Albo dotrze do powiązań uczuciowych, które oddźwięk znajdą w każdej jaźni, chociaż odbywa się bez logiki cerebracyjnej, czyli mózgowej i użytkuje z gwałtownych przeskoków i skojarzeń. Wcieli tam logikę inną, nerwacyjną, uczuciowo-emocyonalną. Albo nie podoła temu zadaniu i wyda na świat skojarzenia, które tak się mają do skojarzeń cudzych, jak cerebracya obłąkańca do działalności mózgowej Newtona lub Platona. Stworzą w tym przypadku — przypuszczam, iż będą to nie karykaturzyści artyzmu — może w swoim rodzaju arcydzieła, ale będą to objawy sztuki zrozumiałe tylko dla sekty emocyonalnej i wogóle nielicznej kliki.

Domagam się przecież swobody dla tych wysiłków, i życząc nawet powodzenia dodam parę uwag.

Niech poeci modernizmu „uczuciowego“ pamiętają, iż bez Homera nie byłoby Troi i że bez arcydzieł pozostaną tem, czem są dzisiaj — krzykaczami, dorabiającymi teorye do nieudolnej nieraz lub udolnej nawet, ale chorej praktyki. I sami mówią o sobie, że jeszcze nie stworzyli nic skończonego. „Naszem pragnieniem, naszą tęsknotą to tylko być Janem Chrzcicielem dlatego, który przyjdzie, dla Potężnego, dla Mocnego, dla Nieśmiertelnego — Geniusza, w którym się Absolut uświadomi.“ Ale niech pamiętają także, że on Potężny, on Mocny i Nieśmiertelny, rodzi się z podmuchów nerwacyi i nie potrzebuje mierzwy z zadrukowanej bibuły, ani zrodzony nie będzie słuchał niczyich recept i teoryjek, jak zazwyczaj czynią Nieśmiertelni i Mocni. Przygotowywać glebę pod posiew wielkiego artyzmu za pomocą karykatur i niedonoszonych płodów, a co gorsza robionych sztucznie teoryj, to potężne dreszcze twórcze powijać według pewnych z góry nałożonych przepisów, przedewszystkiem zaś kazać Mocnemu stosować się do wybryków cudzego mózgu, tego w tym razie niewątpliwie biednego, arcy-biednego organu!

Żądamy więc utworów i na nie czekamy. Pragniemy czynu, nie zaś teoryi, bo *jede Theorie ist grün*, a przynajmniej w sztuce.

„Nasza droga — mówią rzecznicy nowego ducha — to wąziutka dróżyna w przepaściach: trzeba się wsłuchiwać w każdy szelest, wpatrywać bezustannie w najdrobniejszy przebłysk; błąkamy się, torujemy nowe dróżyny, a to strasznie trudno!

Tak, uwaga słuszna: ażeby pisać bez logicznych związków, w gwałtownych przeskokach i skojarzeniach, a przecież oddziałać na innych, rzecz bardzo ciężka. Nawet czy możliwa? A zwłaszcza czy nowa sztuka nie będzie dostępną tylko dla wysubtelnionych i psychologicznie wyszkolonych długiemi studyami biednych mózgów? Jeśli tak, to będzie to sztuka sekty, tylko sekty! I dodajmy wszelkich pozerów, którzy pod taką osłonką będą usiłowali ukryć swoją nieudolność. Każda zwichrzona organizacya, każdy pajac ma drogę utartą, a dla krytyków gotowe wymyślania. Niewiem, czem będzie nowa sztuka w ręku Potężnego, ale wiem, że taka sztuka łatwo może zamienić się na artyzm kliki histerycznej i zostać hasłem pozujących niewielkości. I rozpocznie się wykrzywianie w imię absolutu — bezczeszczonego przez sztuczne fortele. Twórczość zwróci się ku figielkom...

Ale sprawa posiada jeszcze inne oblicze.

K. R. Żywicki.

Z ŻYCIA KOBIET PÓŁNOCNO-AMERYKAŃSKICH.

I. Zawody kobiece.

Kobieta amerykańska, to jakby nowy gatunek płci niewieściej. Objawia tak wielokrotną odmienność cech, pod wpływem warunków miejscowych rozwinęła w sobie tyle właściwości, przeważnie dodatnich, a zawsze charakterystycznych, że studyowanie jej psychologii, bytu i położenia należy do najbardziej nęcących. Znajomość warunków i objawów jej życia ma duże znaczenie i w tym względzie, że Amerykanka stanowi typ niewiasty najbardziej samodzielnej i że głównie na niej winny wzorować się kobiety europejskie, zmierzające do społecznego i umysłowego rozwoju.

Zanim przejdziemy do kilku ciekawszych objawów jej życia, przyjrzyjmy się stanowisku, jakie ona zajmuje w potężnym, a młodym świecie północno-amerykańskim. Ponieważ dotąd nerw istnienia Zjednoczonych Stanów stanowił „business“, zacznijmy od niego.

Można rzec, że obecnie nie masz prawie zawodu, do którego by nie weszły kobiety. Czy weźmiemy zajęcia robotnicze, handlowe, wolne lub też polityczne, znajdziemy je wszędzie.

Amerykanki wiedzą doskonale, że praca fabryczna przedstawia warunki najmniej ponętne dla kobiet. Zdają sobie dobrze sprawę ze skutków znużenia i przepracowania, a jeśli biorą się do niej, to jedynie pod naciskiem konieczności. Z biegiem lat zresztą zdołały wycofać się ze stanowisk mniej korzystnych i dziś przeważającą większość robotnic stanowią kobiety innych narodowości, świeżo przybyłe.

Ekonomista amerykański Carrol de Wright dał w jednej ze swych prac ciekawy obraz owego usuwania się kobiet tubylczych z fabryk. Początkowo, zwłaszcza w zawodzie tkackim, pracowały przy wszystkich warsztatach Amerykanki. Lecz przemysł rozwijał się ogromnie, zapotrzebowanie rąk wzrastało w znacznym stopniu, dzięki temu poczęły napływać z Europy szukające pracy kobiety. Dla Amerykanek otworzyły się tymczasem inne źródła zarobków—ustąpiły więc miejsca Angielkom; te, zaaklimatyzowawszy się, wyszukały sobie znów pracę lżejszą i do fabryk weszły Irlandki, potem przybyszki z Kanady, ostatecznie Niemki i w pewnej części Polki.

Ich poprzedniczki są dziś nauczycielkami, sekretarkami, zajmują się handlem, albo adwokaturą i leczeniem.

Bądź co bądź jednak, przyrost kobiet pracujących w fabrykach jest duży. Spojrzyjmy na cyfry.

W roku 1885 było w 1067 przemysłowych zakładach robotnic, liczących więcej niż osiemnaście lat 27,163; mniej niż siedemnaście lat 6,713. Razem 33,906. Dziś pierwsza kategorya liczy 45,162; druga 12,751, razem 57,913. Mężczyzn pracujących w fabrykach podaje statystyka z 1885 —30,654, z 1895 — 50,835. Ilość robotnic więc wzrasta i bezwzględnie (prawie podwoiła się) i w stosunku do płci męzkiej.

Cyfry te, zaczerpnięte z wykazów statystycznych waszyngtońskiego oddziału pracy, nie obejmują wszystkich fabryk, prawdopodobnie jednak dołączenie brakujących nie zmieniłoby powyższego stosunku liczebnego.

Płaca fabryczna waha się jak zwykle w szerokich granicach; zależy też w znacznej części od zawodu. W trzech czwartych wypadków za tę samą ilość pracy pobiera kobieta mniej, niż mężczyzna; jednak siedem razy na sto dostaje tyleż, co on, siedemnaście zaś razy—w zawodzie tkackim — więcej od niego. Różnica zarobkowa wynosi w tym wypadku 10,4%.

Do lepiej wynagradzanych. należą także kobiety pracujące w przędzalniach. W istocie zarobek ich nie duży: cztery i pół do pięciu dolarów tygodniowo. A jednak umieją tak zręcznie związać dwa końce, że Chailley-Bert nie może się ich nachwalić.

Widziałem—opowiada on —w Manchestrze (osada w Stanach Zjednoczonych, jednoimienna z miastem angielskiem) robotnice, wychodzące w sobotę o drugiej po południu z fabryk. Schludne, czysto, ładnie ubrane, opuszczając pracownię wkładały zgrabne kapelusiki i rękawiczki, zdejmowały fartuchy, przysłaniające ich suknie podczas pracy, a gdy znalazły się na chodnikach ulic, nie byłbym mógł w żaden sposób odróżnić ich od dziewcząt, które uczęszczają do kolegiów albo nawet do wyższych szkół.

W Kalifornii warunki rękodzielniczej pracy kobiecej są stosunkowo najlepsze. W San Francisco pobierają kobiety w niektórych pracowniach 295 dolarów, co daje dziennie około ośmdziesięciu centów amerykańskich (1 rs. 60 kopiejek).

Ale też gdzieindziej spotyka się wśród nich czarną nędzę. Zwłaszcza szwaczki cierpią niedolę. Są okolice, gdzie całymi tygodniami pracujące kobiety żyją czerstwym chlebem, gdzie za napój służy im woda, albo trochę herbaty. Przoduje tu Massachusetts ze swą stolicą Bostonem. Szwaczki bostońskie, a jest ich około trzydziestu tysięcy, zarabiają tygodniowo dwa dolary 75 centów—około półszosta rubla, (wobec drożyzny miejscowej płaca bardzo niska), a gruźlica wybiera z pomiędzy nich obfity haracz.

Służba domowa, kuchnia i pralnia są również wyłącznie niemal w ręku kobiet. Zawody te jednak poczytywane przez Amerykanki za niższe, należą w ogromnej większości do Irlandek. Irlandya dostarcza zwłaszcza sług. Dziewczęta, w chwili przybycia bardzo nieokrzesane, wyzbywają się szybko przywar i objawiają potem wiele skrzętności i inteligencyi.

O związkach zawodowych robotnic pomówimy następnie, obecnie przejdziemy do zawodów handlowych.

Cieszą się one wielkiem uznaniem pośród Amerykanek. Przed piętnastu laty kobieta bała się sterować po ich fali. Dziś w Ameryce jest sporo przedsiębiorczyń, na czele domów handlowych stoją panie a są one nie kierowniczkami domów po zgonie mężów, ale istotnemi ich twórczyniami. Do najgłośniejszych w tym zakresie należy pani Frank Leslie, która założyła jedną z największych firm księgarskich w Ameryce i którą nazwano matką ilustrowanej prasy amerykańskiej.

W większej bez porównania ilości wchodzą kobiety do przedsiębiorstw handlowych jako urzędniczki. W sklepach, w przedsiębiorstwach tramwajowych, nawet w bankach pracuje nieprzejrzana ich rzesza. Od 1870 do 1890 r. ilość pracownic w tej dziedzinie zwiększyła się jedenaście razy; gdzieniegdzie, jak np. w bankach, nie było ich w 1870 r. wcale, teraz statystyka podaje więcej, niż pół tysiąca. Przypomnijmy sobie, że liczba robotnic ledwie podwoiła się w tym czasie i to głównie przez wwędrowanie mieszkanek Europy.

Płaca jest tu lepsza i według C. Wrighta wynosi około trzechset dolarów (sześćset rubli rocznie). W San Francisco znowu wynagrodzenie wyższe: 390 dolarów, gdy tymczasem wydatki wynoszą przeciętnie 286 dolarów. Można więc zaoszczędzić co roku dość pokaźną sumę.

Panie te mają niektóre wady... W najpoczytniejszym miesięczniku Filadelfii „Lippincotts Magazine“, Marya Kelly czyni im poważne zarzuty. Więcej myślą o strojeniu się, niż o pracy zawodowej, i bardzo rychło obrażają się jedna na drugą.. Autorka przytacza nawet anegdotkę wcale nie budującą. W głównej siedzibie pewnego wielkiego towarzystwa ubezpieczeń praca biurowa uległa całodziennej przerwie, bo dwie stenografki pogniewały się z sobą i odmawiały sobie wzajemnie objaśnień co do odcyfrowania i uporządkowania dokumentów, które miały przesłać.. Wskutek tego zabroniono pracownicom w wielkich domach handlowych w Nowym Jorku wszelkich rozmów podczas pracy.

Znajdują się jednak wyjątki i to liczne. Ta sama pani Kelly opowiada o pewnej cudzoziemce, która zaczęła od miejsca sklepowej w wielkim składzie koronek w Nowym Jorku. Zapisywała jak najstaranniej wszystkie wiadomości, jakie mogła zebrać o cenie kupna, o różnicach towaru, o sposobach wytwarzania, o pochodzeniu materyałów. Studyowała z podziwu godną wytrwałością dzieje przemysłu koronkarskiego. Nabyła wreszcie takiej biegłości w swoim zawodzie, że jeden z najważniejszych domów stolicy dał jej u siebie miejsce z roczną pensyą półczwarta tysiąca dolarów.

Ogromnie zwiększyła się także ilość buchalterek, sekretarek, nauczycielek. Przytoczę parę cyfr. W roku 1870 statystyka nie podaje z pierwszej kategoryi ani jednej osoby, w 1890 liczy ich 27,777. Kopistek i sekretarek było w 1870—8,016, w 1890—64,048. Stenografek i drukarek w 1870—siedem, w 1890—21,185! Nauczycielek liczą obecnie w Stanach Zjednoczonych 191,000 (mężczyzn zaś w tym zawodzie jest 104,000). W niektórych stanach, jak Nowojorkskim i New Jersey, wypada na jednego nauczyciela pięć nauczycielek, w stanie Masachusetts i New Kampshire na jednego—dziewięć.

Nadto, ponieważ wśród uczęszczającej do szkół młodzieży jest 71 na 100 dziewcząt, więc niektórzy wróżą, że stosownie do tego ilość nauczycielek jeszcze bardziej wzrośnie.

Dnia 12 lipca 1870 r. uchwała federalna dopuściła kobiety do urzędów publicznych. Z prawa tego skorzystały one bez wahania i dziś wypełniają dosłownie wszystkie działy administracyi państwa. Na dwadzieścia pięć tysięcy urzędników w Waszyngtonie jest dziesięć tysięcy kobiet. Najliczniejsze są one na niższych stanowiskach pocztowych, telegraficznych i telefonicznych, ale wznoszą się i na wyższe szczeble.

Znajdujemy je nawet i w ministeryum wojny. Sztab posiada dwie „attachées“: pannę Bessie Lawton i pannę Elżbietę Long; każda pobiera 1200 dolarów. Od 30 sierpnia 1890 mają być niewiasty archiwistkami w temże ministeryum; wreszcie oddział lekarzy wojskowych liczy przeszło dwieście kobiet.

Wypada zaznaczyć, że w stanach Massachusetts, Rhode Island i New Jork nawet organizacya policyi wzbogaciła się w płeć piękną! Istnieją tam tak zwane police-matrons, których specyalnością jest aresztowanie kobiet. Damy te noszą strój zawodowy: krótką suknię, kaftan obciśnięty szerokim pasem i kepi. Są, rozumie się, uzbrojone.

W owem zmierzaniu kobiet do stanowisk biurowych mężczyźni nie przeszkadzają. Owszem, sprzyjają ruchowi do pewnego stopnia, gdyż dla Amerykanina biuro zawsze jeszcze nie przedstawia dużej ponęty. On woli handel lub przemysł.

Tak zwane zajęcia wolne stanowiły najbardziej upragniony cel pożądań kobiety europejskiej. O możność zajmowania stanowisk lekarki i adwokatki stoczono w starym świecie zajadłe boje. Tak było i w Ameryce. Ale podczas gdy w Europie pozycye te w wielu krajach jeszcze nie zostały zdobyte przez płeć niewieścią, w Ameryce są one już oddawna w jej posiadaniu.

Już w roku 1870 było lekarek 527, dziś jest ich 4,555. Powodzenie mają dużo, niektóre zarabiają do dwunastu tysięcy dolarów rocznie. Bardzo wielu szpitalami kierują tylko kobiety i tak: infirmeryą w Nowym Jorku założoną w 1857 r., szpitalem kobiecym w Filadelfii, szpitalem kobiecym i dziecinnym w Bostonie, wreszcie wielom i innymi zakładami pokrewnymi.

Do adwokatury dopuszczono kobiety najpierw w 1869 r. w stanie Jowa. Pierwszą adwokatką była pani Arabella A. Mansfield. W dziesięć lat później (dnia 15 lutego 1879 r.) rada federalna rozszerzyła owo prawo na całe państwo i oświadczyła nawet, że „wszelka kobieta, która przez trzy lata będzie bronić przed najwyższym trybunałem jakiegokolwiek stanu, terytoryum albo okręgu i której zdolności i charakter trybunał zaznaczy, będzie miała prawo wykonywać swój zawód także wobec najwyższego trybunału Stanów Zjednoczonych.“

Prawo to wywalczyła pani Belwa Lockwood, najznakomitsza adwokatka amerykańska i ongi kandydatka do prezydentury.

W 1893 r. panna Helena Martin zorganizowała w Chicago kongres adwokatek, poświęcony ich sprawom zawodowym.

Nowy Jork liczy cztery kobiety zarządzające kancelaryami notaryalnemi. Jeszcze więcej podobnych urzędniczek ma Ohio i Visconsin. W stanach Missouri, Wyoming, Kansas i w terytoryum Kolumbijskiem, niewiasty są sędziami pokoju.

A literatura i sztuka? W 1870 r. było literatek i pisarek 159, w 1890 — 2,725. O wiele pokaźniej wzrosła liczba malarek i rzeźbiarek: z 412 podniosła się do 10,810. W 1870 r. posiadały Stany Zjednoczone tylko jedną architektkę, dziś mają ich dwadzieścia dwie. Z tych pani Robling dokończyła słynnego mostu w Brooklynie, panna Minerwa Porker wybudowała wielką rękodzielnię w Filadelfii i hotel klubu „New Century.“

Inżynierek liczono w 1890—127, w 1870 zaś nie było ich wcale. Ciekawem jest także, że w północnej Ameryce istnieje 1235 (w 1876—67) kapłanek, pełniących tę samą godność, co pastorowie lub księża. W dwudziestu latach liczba ich zwiększyła się dwadzieścia razy!

B.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Konserwatoryum Reszkego.

Zarówno arystokraci nasi, jak artyści odczuwają bardzo głęboko potrzeby i ubóstwo Francyi. Rozumieją oni doskonale, że biedny ten naród, w którym drobny farmer lub sklepikarz posiada zaledwie tyle majątku, co nasz średni lord, nie może sam podołać swoim rozmaitym brakom i jest skazany na miłosierdzie cudzoziemców. Dlatego zmarła niedawno hr. Działyńska opatrzyła go hojnie, dlatego inni panowie obdarzają go sowitymi darami, dlatego wreszcie p. Jan Reszke postanowił w Paryżu założyć „wzorowe konserwatoryum muzyczne.“ Poklask! Warszawa już posiada taką instytucyę, słynną na cały świat ze swych sił nauczycielskich i olbrzymich środków, które jej pozwalają co kilkanaście lat sprawić sobie nowy fortepian i mocą władzy swego ciała pedagogicznego wydatkować z konieczności po całym półimperyale: tymczasem konserwatoryum paryskie... Cóż z tego, że rozporządza milionami, kiedy nie może w żaden sposób wyhodować.. cnoty niewieściej. Nazwano je „conciergeatoire,“ gdyż ułatwia ono córkom stróżów znajdowanie dobroczynnych panów, sprawiających biednym, drżącym z zimna dziewczętom „karety i bolera z chinchilli.“ Dla hodowania białej lilii próbowano zaprowadzić internat, ale i w nim zaczęły rozwijać się takie kwiatki, że

radzono dać mu szyld „pod smutnym Kupidynem“ i połączyć ze szpitalem „de la Maternité.“ Wszystko to postanowił usunąć lub zmienić w swoim zakładzie p. J. Reszke. Czyż znajdzie się w Paryżu serce, któregoby nie rozrzewniła ta szlachetna ofiara? I my życzymy szan. filantropowi: bodaj wszystkie jego konie wygrywały.... w Warszawie i bodaj myśmy stawili na nie w totalizatorze.

Wąż morski.

I znowu po raz tysiączny wypłynęła na fale prasy warszawskiej nieśmiertelna sprawa czystości języka literackiego. Wywołał ją niejaki p. Old Gentleman w *Now. Wrem.* twierdzeniem, że Polacy skazili swą mowę obcymi pierwiastkami aż do zupełnego zwyrodnienia. Jakkolwiek przy tej sposobności lekarze, którzy nie umieją pokonać własnej choroby, dali mądre rady innym, jakkolwiek odezwały się znowu głębokie westchnienia nad hultajskim bigosem naszej gwary dziennikarskiej, po tylu dowodach daremnego rozlegania się głosu przestróg na puszczy jesteśmy przekonani, że i ten krótki rachunek sumienia nie doprowadzi do żadnej poprawy. Jak dotąd, tak i nadal: *konflikty, kompromisy, stypulacye* i inne dziwotwory będą pływały gęsto w naszych artykułach dlatego, że: 1) niedbalstwo jest potężną siłą i 2) bezmyślny popis jeszcze potężniejszą. Pewnym ludziom zdaje się, że gdy powiedzą i napiszą *konflikt* zamiast: starcie, lub *kompromis* zamiast: układ, to dźwięczy ładniej, a nadewszystko znamionuje większą mądrość i *smart.* (Zapowiadamy wkrótce uroczysty wjazd tego ostatniego wyrazu, bo on już grasuje w Paryżu, gdzie zastąpił *chic*). A zatem wąż morski czystości języka ma byt na długo zapewniony.

Zagadkowe obrady.

Albo przedsiębiorstwa kolei Wilanowskiej i Grójeckiej są sprawą prywatną, do której ogół nie powinien i nie potrzebuje się wtrącać, albo też publiczną — i wtedy może on żądać objaśnień ścisłych i rzetelnych. W pierwszym wypadku opisywanie w dziennikach przebiegu obrad zgromadzenia członków jest zgoła zbyteczne, w drugiem musi być dokładne. Tymczasem niektórzy sprawozdawcy wybrali drogę pośrednią: przedstawili główny wątek narady uczestników, ale tak zmącony zagadkami i domyślnikami, że Salomon musiałby stukać w palce, chcąc odgadnąć prawdę. Wyobraźcie sobie, że z jakiegokolwiek powodu zajmuje was finansowy stan tych dróg, że chcielibyście może nabyć ich akcye — i czytacie taki wykład w jednem piśmie: „Gdy przyszło do planu działań i budżetu, znowu p. Henisz zawiadomił, że na rekonstrukcyę drogi Wilanowskiej i na uczynienie zadość wymaganiom, przez ministeryum komunikacyi wyrażonym, będzie potrzeba zaraz 25,000 rb., nieco później jeszcze 35,000, *a może się wydarzyć, że niebawem zajdą takie potrzeby,* które te wszystkie sumy niedostatecznemi uczynią. Gdy znowu wzięto pod rozwagę wniosek o podwyższenie kapitału zakładowego do 100,000 rb., w dyskusyi różne słyszeliśmy *półgłosy.* Na potrzeby, które p. Henisz wyłuszczył, to jest za dużo, na te zaś, których *nie dopowiedział,* może być *o wiele za mało.*“ W drugiem: „Akcyonaryusze kolei Wilanowskiej wiedzą, co posiadają (licha tam wiedzą! — patrz wyżej), a właściciele udziałów Grójeckiej — *nie.* Po za kwestyą równowagi budżetowej mają oni do czynienia z licznemi zobowiązaniami *natury drażliwej,* bo wypływającemi z niedotrzymania zobowiązań.“ No, co myślicie o tych kolejkach?

Ciekawa rzecz, czy takie sprawozdania należą do „popierających“? W takim razie oba zarządy mogą zawołać: Boże chroń nas od przyjaciół!

1/20.

Z 900 członków Towarzystwa muzycznego przybyło na doroczne zebranie... 48! Zapewne, gdyby obecnych miano smarować krotonowym olejkiem lub przymusowo golić, stawiłoby się jeszcze mniej, ale i ta cyfra dostatecznie wykazuje wstręt do uczestniczenia w obradach instytucyi, która tak niegdyś była gwarliwą. Drobny ten ułamek ($^1/_{20}$ całości) musiał sam załatwić rozmaite ważne sprawy: rozszerzenia programu koncertów stałych, reformy szkoły deklamacyi, podwyżki składek itd. Życzenia te uwzględniono w zasadzie, co niezawodnie ani ziębi, ani grzeje tych, którzy nie byli. Oni chcą słuchać taniej muzyki, otrzymywać biesiady artystyczne, a kto będzie kucharzem i gospodarzem — to jest dla nich zupełnie obojętnem. I gdyby nie kilku wytrwałych retorów i wnioskodawców, występujących z krytyką lub radami na każdem zebraniu, pomału doszłoby do tego, że raz na rok zebrałby się komitet, sam dałby sobie dymisyę i sam się wybrał ponownie. Byłoby to *minimum* kłopotu dla 900 członków, którzy wprawdzie i bez tego ułatwienia nie trudzą się, ale jednakże raz w roku mają trapiącą myśl: a nuż nie znajdzie się nawet 48 chętnych do obrad, czego przecie ustawa wymaga?

Papierowe strzały.

Dzienniki nasze wykryły, że z niektórych fabryk łódzkich są tajemnie usuwani pracownicy polscy a wprowadzani niemieccy. Naturalnie tajemnica ta nie jest zachowywana dla opinii publicznej, z której maczugowi bohaterowie przemysłu łódzkiego nic sobie nie robią, ale dla obejścia przepisów, zabraniających takiego *qui pro quo.* Być może, iż podobne odkrycia, o ile opornych narażają na starcie z ustawą, czasem poskutkują, ale wogóle nie należy się łudzić nadzieją, ażeby napomnienia dziennikarskie przerobiły ów „polski Manchester“ na... polski! Znakomicie, przejrzyście i barwnie nakreślony w *Prawdzie* przez p. Badiora obraz „ziemi obiecanej“ odejmuje takim złudzeniom grunt na bardzo długo. Brutalny i drapieżny interes, który tam dotąd jest najsilniejszym instynktem, poprostu nie jest w stanie zdobyć się na uczucia, leżące wysoko po nad jego poziomem; że zaś ma on często słabość do swego antropologicznego gniazda — trudno się temu dziwić! Niemcy pragną ściągać Niemców itd. Zauważyć przytem trzeba, że tylko prasa warszawska puszcza z odległości strzały na ten Babel przemysłu tutejszego; miejscowa albo się boi drażnić potęgi pieniężne, albo je pieszczotliwie głaszcze i bije im pokłony. To też dotychczas lekceważą sobie wszystkie rodzaje broni... papierowej.

Prośba.

Rozmaite towarzystwa i instytucye społeczne nadsyłają nam, jak wielu innym pismom, swoje ogłoszenia, odezwy, zawiadomienia itd. Jakkolwiek co do *Prawdy* i wogóle tygodników należałoby może zmniejszyć tę wymagalność, ze względu na to, że one nie rozporządzają dostatecznem miejscem na taki użytek, drukowalibyśmy jednak owe komunikaty w miarę możności chętnie, gdyby one były redagowane staranniej. Tymczasem przeważnie są to wypracowania tak stylowo niedołężne, a przedewszystkiem niedbałe, że aż wstyd zamieścić je w organie, szanującym obowiązki słowa publicznego. Zdaje się, jak gdyby autorowie tych odezw albo nie umieli pisać do druku, albo też byli przekonani, że jakkolwiek zaczernią papier, stworzą rzecz godną uwagi. I nie wiadomo, co z tymi fantami począć: podawać je bez zmiany — przykro, przerabiać i zmieniać — nie można, bo przecież są to głosy „urzędowe,“ najczęściej więc usuwamy tylko parę „takowości,“ zastępujemy kilka ciągle powtarzanych rzeczowników zaimkami i puszczamy resztę w świat na odpowiedzialność autorów. Pojmujemy bardzo dobrze, iż obwieszczenia nie mogą być tworami artystycznymi, ale zachodzi jeszcze wiele stopni pomiędzy wytwornym strojem a niedbałą tandetą. Pewnej zaś staranności mamy prawo żądać od owych komunikatów tem bardziej, że przecież są to uchwały i głosy ludzi ukształconych, którzy w swoich gronach łatwo znajdą kogoś, kto umie związać myśli porządnie i nadać im przyzwoitą formę. Trzeba tylko troszeczkę staranności.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Listy Juliusza Słowackiego, z autografów poety wydał po raz pierwszy Leopold Meyet. Lwów, nakładem Księgarni polskiej, 1899 (z ilustracyami), t. I, str. XV, 323; t. II str. 347.

Zaatakowany postępami coraz gwałtowniej rozwijających się suchot, choroby dziedzicznej w jego rodzinie, Słowacki zgasł d. 3 kwietnia 1849 r. w mieszkaniu swem przy ulicy Ponthieu, 30, w Paryżu, w obecności dwóch najserdeczniejszych przyjaciół, Karola Pettiniaud Dubos'a, młodego malarza francuskiego i Szczęsnego Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego. Oni też zajęli się gorliwie pogrzebem, który odbył się d. 5 kwietnia. Z powodu szczupłych funduszów poety, Feliński zakupił przedewszystkiem za 500 fr. grób na własność wieczystą na cmentarzu Montmartre. Niezabalsamowano ciało Słowackiego, złożone w trumnie czarnej z białym krzyżem na wieku, wystawiono w kościele właściwej parafii Saint Philippe du Roule, gdzie odbyło się nabożeństwo żałobne. Poczem najskromniejszy, bo 9-ej klasy karawan powiózł o godz. 12 śmiertelne szczątki poety na Montmartre. W orszaku żałobnym postępowali Feliński, Pettiniaud i zaledwie garstka obojętnych, niegłośnych nawet nazwisk rodaków, gdyż cała niemal emigracya, z wyjątkiem starców i dzieci, znajdowała się wówczas w rozproszeniu, spowodowanem wstrząśnieniami lat 1848—49. Na mogile poety, staraniem i według rysunku Pettiniauda wzniesiono ładny, choć nietrwały pomnik: na odłamku skały krzyż owinięty bluszczem, u spodu krzyża medalion dłuta Władysława Oleszczyńskiego. Pomnik ten odnawiany był następnie kosztem matki, Salomei (w drugiem zamężciu Becu), która też i w Krakowie, w kościele akademickim św. Anny wzniosła skromny nagrobek ubóstwianemu swemu synowi. Pomnik na Montmartre restaurowano później dwukrotnie przed kilkunastu laty ze składek publicznych, a w r. 1894 staraniem komisyi opieki nad grobami polskimi w Paryżu (t. II, str. 339, przyp.).

Mija więc w tej chwili okrągłe pół wieku od śmierci jednego z największych mistrzów wiązanego słowa polskiego—poety, który za życia swego stawał do chwalebnej walki o pierwszeństwo z Mickiewiczem. Listy jego do matki, stanowiące rodzaj autobiograficznego pamiętnika, wydane ponownie przez Méyeta, przyszłyby z tego powodu w samą porę nawet wtedy, gdyby były prostym przedrukiem edycyj poprzednich, np. z r. 1876, a cóż dopiero, gdy się ma do czynienia z opracowaniem, w które włożono kilkanaście lat starań, zachodów, poszukiwań kosztownych.

W zwięzłej i skromnej przedmowie wydawca skreślił powody i rezultat tych swoich zabiegów, kierowanych widocznem u-

wielbieniem poetyckiej twórczości Słowackiego. Matka Juliusza, pani Bécu, poleciła była przed laty sporządzić dla Karola Szajnochy odpisy, czyli kopie listów swego syna; Szajnocha, po jej śmierci, ofiarował rękopis ten profesorowi Antoniemu Małeckiemu, w którego ręce dostała się następnie całkowita po Słowackim spuścizna literacka, z której, po należytem jej uporządkowaniu i opracowaniu, powstały dwa znane dzieła: trzytomowe „Pisma pośmiertne Słowackiego“ (wyd. pierwsze 1866, wydanie drugie 1885), oraz dwutomowe „Życie, dzieła w stosunku do współczesnej epoki“ (wydanie pierwsze 1866, drugie 1881), „jedna z najpiękniejszych i najpopularniejszych monografij w piśmiennictwie polskiem.“ Wyjątki z listów, jakie w książce tej przytoczył prof. Małecki, powtórzono zostały, w ogólności, poprawnie; natomiast dotychczasowe całkowite wydania listów Słowackiego do matki, dokonane bez udziału prof. Małeckiego, są dość niedbałe, pełne błędów, niedokładności i opuszczeń... Zresztą niektóre z tych braków były zupełnie od wydawców niezależne. Przy sporządzaniu odpisów dla Szajnochy, listy uległy surowej cenzurze samej pani Bécu, która przedewszystkiem ze zwierzeń swego syna pousuwała to wszystko, co z jakiegokolwiek powodu niepodobało się jej samej, następnie to, co dotyczyło jej stosunków rodzinnych, lub co mogłoby narazić którąkolwiek z żyjących jeszcze osób; wiele też nazwisk pozwoliła tylko początkowemi głoskami oznaczyć... Długi czas nie wiedziano nawet, o ile te zmiany dotknęły oryginały listów, które nikomu nie były znane aż do r. 1891, to jest do śmierci ich posiadacza, Wiktora Sobieszczańskiego, przyjaciela rodziny Słowackiego; obecnie są one własnością Méyeta i posłużyły do wydania zbioru, o którym mowa. Wtedy to, przy konfrontacyi, pokazało się, że wiele miejsc w autentykach pani Bécu poprzekreślała tak troskliwie, że albo wcale odczytać ich nie było można, albo też z wielką tylko trudnością. Do wyświetlenia niektórych faktów posłużył Méyetowi — okrom ogłoszonych gdziekolwiek i kiedykolwiek materyałów biograficznych — jeszcze zbiór dokumentów urzędowych i prywatnych, tudzież odpisy z rozmaitych archiwów w kraju, gromadzone od lat wielu z wytrwałością zaiste benedyktyńską; powstało tym sposobem całkowite niemal archiwum rodzinne Słowackich. O osobach, przelotnie tylko niekiedy zaznaczonych w korespondencyi Słowackiego wzmiankami poufnemi, familijnemi, w przenośni, zdrobniale lub pseudonimowo, Méyet umie nam dziś powiedzieć więcej, niżby to zdołał był uczynić za życia sam Słowacki...

Urodzony w d. 23 sierpnia st. st. 1809 r. w Krzemieńcu, poeta spędził w tem mieście pierwsze lata młodocianego wieku, z niem związał najmilsze swoje wspomnienia: tu od r. 1827, po powrocie z Wilna, stale mieszkała jego matka w otoczeniu rodzeństwa, o którem w listach Juliusza Słowackiego znajdują się często serdeczne napomknienia, a więc najpierw dwie pasierbice pani Bécu, Aleksandra i Hersylia, „panny piękne, dobre, łagodne i wykształcone,“ z których Hersylię poślubił brat pani Bécu, Teofil Januszewski, zwany przez Słowackiego najzwyklej „Filem“; dalej idzie „dziadunio poety, po matce, Teodor Januszewski, i jego małżonka, czyli „babunia,“ Aleksandra z Dunanowskich... W tem to otoczeniu wzrósł i wychował się Słowacki — do niego wracał później myślą całe swe życie z tęsknotą nieutuloną i z nadziejami, którym się urzeczywistnić nie było sądzono. „Gdy z rozpieszczonego i kapryśnego dziecka — pisze Méyet — przeradzał się w młodzieńca, nie oceniał jeszcze lub nie rozumiał może tych stron, tak jasnych w ludziach, którzy go otaczali. Dopiero później: klęski ogólne, osamotnienie na obczyźnie, tęsknota za krajem i ogniskiem rodzinnem, zawiść i zła wola ludzka, z którą się tak często spotykał, wyrobiły w nim sąd inny — sprawiedliwy i dojrzały... Ślady tych wszystkich przemian i wrażeń pozostały w jego listach do matki. Są te listy nadto nieprzebraną skarbnicą do poznania życia i zbadania dróg twórczości jednego z największych poetów świata — a dla dzisiejszego i następnego pokolenia pozostaną one godnym naśladowania wzorem tego podniosłego pierwiastku etycznego, który tkwił w duszy wielkich poetów naszych z epoki romantyzmu...“ Słowacki, również jak i Mickiewicz, wpadł pod koniec swej działalności poetyckiej w towianizm — ale jak słusznie i pięknie się wyraził jeden z najcelniejszych tegoczesnych myślicieli i stylistów — „był to obłęd najwspanialszy w dziejach literatury powszechnej...“

Żeby się dowodnie przekonać o prawdzie ostatniego tego twierdzenia, dość rzucić okiem na jeden tylko ustęp z „Listów“ Słowackiego, z początków roku 1845. Odpowiada w nim poeta matce na zarzuty, że popadł w herezyę mesyanizmu, że się stał mistykiem, że stracił dawną przejrzystość słowa, osnuł się mgłą „duchową...“ „Odczytaj, nadto — pisze — te wyrzuty twoje i rady — i pomyśl, czyliby one mogły były dane być przez Chrystusa?.. Bo z tym jednym tonem ewangelicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otóż ja ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapałem ani *Szwajcaryi*, ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu *Salusi* („Sen srebrny Salomei“), albo też Wernyhory dramę w piątym... Więcej ci powiem: Wystaw sobie chłopka bogatego, z rodziną już czytać umiejącą, za sto lat, w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie, szczęśliwy, ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta *Balladynę*. Ten utwór bawi go jak baśń, a razem uczy jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze *Lillę* — to samo. *Mazepa* trochę mu się już wydaje deklamatorskim. Lecz zajrzał w *Godzinę myśli*, albo w *Lambra* i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego... Dlatego to właśnie chłopka jest *Saly* („Sen srebrny“), jest *Ksiądz Marek*, jest *Książę Niezłomny* — ten książę, który mi kości wewnętrzne połamał, w którym są pioruny poezyi — bo nie na nerwy, ale na samo czyste czucie uderza, nie melancholię, ale boleść obudza, nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi“ (II, 225).

Zresztą cały poprzedni, przedmesyaniczny okres prywatnego życia Słowackiego, poświęcony drobiazgom i psotom salonowym, jak najwyraźniej dowodzi, że tylko w obłędzie i przez obłęd, w towianizmie i przez towianizm Słowacki miał prawo powiedzieć o sobie, na kilka miesięcy przed zgonem, w sławnym swym *Testamencie* poetyckim: „Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami; nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny: dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami... A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny...“

J. T.

MALARSTWO.

II.

Mielich. — Jankowski. — Laszczka. — Godebski.

Rzecz dziwna! Wiedeń, bodaj że najbliższe dla nas (geograficznie) ognisko sztuki, jest nam jednocześnie tak mało znany. Nasze Salony sprowadzają płótna malarzów francuskich, hiszpańskich, niemieckich (z Berlina i Monachium), lecz nie wiedeńskich. A przecież z Wiedniem łączą się nazwiska Makarta i Alma Tademy, łączy się szereg nazwisk nawet polskich, których prawie nie znamy. Kilka lat temu w Salonie Krywulta jeden jedyny Makart, dziś w Zachęcie Mielich — oto wszystko, co nam dotąd pokazano z nad fal modrego Dunaju. A czy Mielich jest rzeczywiście wiedeńczykiem? Z pochodzenia — podobno; lecz jeśli istnieje jakakolwiek grupa artystów o cechach szczególnych i charakterystycznych, które mogłyby stanowić szkołę oddzielną, „wiedeńską,“ to Mielich nie może uchodzić za jej przedstawiciela, bo jest właściwie płonką z pnia sztuki francuskiej. Początkowe studya odbył podobno w Wiedniu, krystalizował się zaś w Paryżu i tam zapatrzył na elegancyę, wytworność i doskonałość techniki Francuzów. Mówiono nam, że pracował pod kierunkiem Meissoniera, że z mistrzem tym odbył wycieczkę na Wschód, której owocem są właśnie prace wystawione w Salonie Zachęty. Nie wiem, czy to prawda, faktem jednak jest, że Meissonier wywarł największy wpływ na Mielicha. Lecz uczeń mistrzowi swemu do pięt nie dorasta.

Obok wielkich słońc sztuki krąży zazwyczaj cała masa planet drobnych, które świecą zapożyczonem od nich światłem, lecz nigdy w słońca samoistne rozbłysnąć nie zdołają. Zwykle są to jednostki o talencie, pozbawionym wszelkiej indywidualności, o talencie takim, który wystarczy zaledwie na naśladownictwo i kopiowanie. Mistrzowie epoki Odrodzenia otaczali się zazwyczaj uczniami, którzy pracowali jedynie nad wykonaniem oddzielnych, grubszych części płócien swych nauczycieli. Imiona ich przeważnie utonęły w morzu zapomnienia, chociaż ich rękami była wykonana znaczna część prac, opatrzonych następnie w podpisy Rubensów, Rembrandtów i Tycyanów. Lecz uczniowie dawniej, dziś — naśladowcy, przejmują zaledwie formę, technikę mistrza, nigdy prawie ducha jego. Takim właśnie jest Mielich. Technika jego naśladuje miejscami do złudzenia Meissonierowską, lecz brak mu zupełnie tego ogromnego poczucia natury i prawdy, które czynią z Meissoniera jednego z największych malarzy naszej epoki.

Wszystkie obrazy Mielicha osnute są na motywach wschodnich; lecz czy dają nam one pojęcie o tej krainie zaczarowanej, o której pierwsze wieści podawały nam w dzieciństwie baśnie Szecherezady? Bynajmniej. Bo malarz ten błądził śród miast i pustyń wschodnich z notatnikiem reportera, lecz nie z duszą artysty. Sumienny reporter opowiada nam o ulicy wschodniego miasta, o targach, żebrakach, kupcach, ulicznikach, piramidach i sfinksach pustyni, lecz z gawęd jego nie płynie czarująca woń poezyi bajek arabskich i alkoranu, nie czuć w nich słońca i złota pustyni, nie widać na obrazach jego pleśni tych „wieków czterdziestu,“ które na nas patrzą z wyżyn pomników faraonowych. To też do najlepszych płócien Mielicha należą te maleńkie, miniaturowe obrazki i studya, które pociągnąć mogą jedynie nadzwyczajną subtelnością wykonania; tam, gdzie na większej przestrzeni trzeba rozbić „namiot błękitów,“ rozrzucić żywe, poruszające się grupy ludzi, wypełnić głębię powietrzem i blaskiem słonecznym, talent odmawia Mielichowi posłuszeństwa: ze wszystkich większych obrazów, jedynie „Kupiec dywanów“ jest rzeczą prawdziwie ładną. Po za tem blado wygląda na jego płótnach blask wschodniego słońca i dziwnie jednakowy, niezmienny, jak słusznie ktoś zauważył, wszędzie, bez względu na miejsce i porę dnia, w tym samym tonie utrzymany lazur nieba.

Przereklamowano u nas, jak zwykle,

Miclicha, bo jest „zagraniczny," przereklamowano i Czesława B. Jankowskiego, bo „swój." Korespondent jednego z Kuryerów zapełnił opowieścią o płótnach ostatniego cały prawie list jeden, reporterya urządziła zwykłą naganokę, i oto zaciekawiona publiczność zebrała się tłumnie na wystawie, aby ujrzeć dwie lichoty, które to tylko mają wspólnego z dziełami wielkiemi, że są... wielkie.

Pożar... Dokoła świecą krwawe łuny... Gdzie okiem sięgnąć — step płonie... Na dzikim, rozbieganym koniu bez uzdy i wędzidła, sadzi na oklep wystraszony chłop z rozwianym włosem, w białej bluzie, z podkurczonemi nogami, obutemi w skórzane łapcie... Co to? Oczywiście pożar stepu. Otóż — wcale nie: to „Przeznaczenie." Dlaczego? Czy dlatego, że przeznaczeniem każdego widza jest łamanie sobie głowy nad rozwiązaniem zawartej w tytule zagadki, czy też dlatego, że zagadka ta również jest nieodgadnioną, jak i przeznaczenie każdego widza, który się stara ją rozwiązać?... Lecz mniejsza o tytuł. Czy obraz zyska cośkolwiek, gdy mu zmienimy nazwę? Na sensie — niewątpliwie, na wartości artystycznej, niestety, nic. Brak wszelkiej prawie perspektywy i powietrza, pożar tylko malowany, chłop bez określonego wieku i narodowości, również malowany, a w dodatku kiepsko, koń, może niezły w głowie i tułowiu, lecz natomiast posiadający zamiast nóg cztery błędy rysunkowe, oto co się składa na całość artystycznie bynajmniej nieponętną.

Nie udało się również Jankowskiemu „Idę." Na tle granatowego morza, zlewającego się z również granatowem niebem, odrzyna się aureolą złocistą otoczona sylwetka Dzieciątka. Idzie... Idzie z nieskończoności i ciszy, niosąc światu wieczność i ciszę... Temat przedziwnie prosty i ogromnie poetyczny byłby stworzył dzieło oryginalne i piękne, gdyby pędzel malarza posiadał skrzydła jego fantazyi. Lecz „granatowemu" pejzażowi brak wszelkiego nastroju, twarzyczce Dzieciątka, jakiejś starej, powiędłej, na której zamiast refleksów tła rozlewają się brudne plamy, brak wszelkiego określonego wyrazu, i oto zamiast dzieła pięknego mamy nędzotę. A szkoda tematu i... szkoda, że w sztuce nie można pocieszać artysty maksymą starożytną: „w dziełach wielkich już wystarczają chęci," bo chęci powinny iść za własnościami talentu, a Jankowski nie jest malarzem, lecz, jak jego prace dotychczasowe wskazywały, wytwornym ilustratorem...

Stanowczo w obecnym Salonie Zachęty rzeźba zwyciężyła malarstwo. Toż wszystkie obrazy razem wzięte nie warte są jednego niewielkiego biustu Laszczki p. t. „Wierzę." Artysta ten wybrał sobie w rzeźbie za specyalność to, co w niej jest najtrudniejszego, bo głowę i wyraz, a specyalnie wyraz oczu. Pomiędzy „Wierzę" a dawniejszem „W nieskończoność" zachodzi pokrewieństwo wielkie, tak wielkie, że aż strach chwyta, aby artysta ten nie wpadł w manierę. Lecz miejmy nadzieję, że szczery, prawdziwy talent uchroni go od szablonu i zasklepienia się w raz obranej formie. I w nowem dziele nie chodzi artyście o nic innego, jak tylko o wyraz. „Wierzę" mówi do nas ta zewnętrznie brzydka i tylko siłą wewnętrzną piękna głowa, „wierzę całą duszę, całem sercem, każdem drgnieniem myśli, całym bezmiarem uczucia..." Z dziwną siłą i potęgą toną wzrokiem gdzieś w błękitach nieskończonych te niewielkie, wązko rozcięte oczy. Obok biustu tego obojętnie przechodzą tłumy, zatrzymujący się przed granatowym pejzażem lub rozbukanym koniem Jankowskiego, a troskliwy zarząd wystawy usunął go w kąt, aby rzecz piękną jaknajtrudniej było odszukać.

Godebski, którego u nas zazwyczaj nie widujemy latami, w ostatnich czasach już trzecie nam pokazuje dzieło i, dodajmy, najpiękniejsze. Bo takim jest rzeczywiście ten „Postęp," a właściwie „Geniusz i gwałt," jak daleko słuszniej zwała się dawniej ta grupa. Potężny gwałt ściska w herkulesowych ramionach wijącego się z bólu i trzepoczącego skrzydłami geniusza. Szyderczo patrzą na skrzydlatego młodziana oczy brutalnego męża, szyderczo i z gniewem zacisnął usta gwałt, nie puści tak łatwo tego, który, gdy raz się na wolność wyrwie i ku słońcu wzleci, szydzić będzie i drwić ze swego herkulesowego wroga. A czy poleci?... Tymczasem jedno skrzydło przygniotło mu potężne ramię, w dziewiczo czyste ciało wpiły się stalowe palce, siła przy ziemi go trzyma, a tam w górze blaskami tęczy tak dziwnie nęci boskie słońce...

Takim jest temat, a cóż mówić o wykonaniu. Jest ono, jak zwykle u Godebskiego, bardzo umiejętnie i bardzo wytworne...

Michał Mutermilch.

POEZYE

Do natury *).

Ja cząstka twego bytu, ja atom w twym ogromie,
Na jedną chwilę tylko zatlone czucia płomię,
Ja myśli jednej podmuch, na ziemski rzucon próg,
Do ciebie, o naturo! z obłędnej wznoszę cieśni:
Marzenia mego hymny i mego serca pieśni!
Ty jesteś życia dar, tyś władca mój i Bóg!

Zbyt mądrym — abym nie czcił mądrości twej natchnienia,
Zbyt cierpię—bym nie wyczuł twej męki wszechrodzenia,
Za wiernym—by z twych torów daleko unieść krok —
Za dumnym — bym się nie czuł djamentem twej korony,
I dźwiękiem, który wiąże harmonii twojej tony,
Za czułym — abym zamknął na twoją piękność wzrok!

Wieczysta— przebacz marnym zwątpieniom i obawom,
Tajemna—przebacz gwałty czynione twoim prawom.
Cierpliwa—przebacz krwawe szarpanie moich sił,
Wspaniała—przebacz płonne tarany mojej pychy.
Czarowna — przebacz spite rozkoszy twych kielichy
I czary moich uciech, kradzione z twoich żył!

Sam pośród tworów jeden, co bluźnił twej potędze
Lecz jam też jeden zdolen zatapiać się w twej księdze.
Ogarniać ciebie myślą—zaklinać jękiem słów.
Przecz pytam i w tęsknocie nad czołem twojem krążę?
Ja w nieśmiertelność z tobą — ja tylko sam podążę —
Ogromem mej miłości—skrzydłami moich snów!

Sz-re-do.

Głos natury.

Naprożno stargać pęta dłoń twoja się porywa,
Naprożno dzwonisz skargą w łańcuchów swych ogniwa,
Naprożno mi złorzeczeń bezsilny rzucasz jad:
Mej piersi nie dosięże twych pustych słów kaskada,
I pocisk myśli twojej do stóp mi zlękły pada,
I wije się w niemocy, jak przygnieciony gad.

Ty w sobie świat masz cały? Ach, przejrzyj świat ten do dna:
I czemże ta mozajka ruchliwa a niezgodna?
I czemże jego ściany, i czemże jego strop?
O biedny! Duch twój dla mnie maleńkiem jest zwierciadłem,
W którem ja widnem jeno odbijam się wybladłem
I jak na gładką płytę swych blasków rzucam snop.

Gdy myślisz, żeś pieśń wysnuł z głębiny swego ducha,
Gdy myślisz, że cię wszechświat na klęczkach kornie słucha,
Gdy mnie wyzywasz z sobą w odwieczny hardy bój:
Ty nie wiesz wówczas, biedny, że pieśni twojej nuta
Z mych wielkich, nieskończonych tematów jest wysnuta,
Że moja to melodya i głos rozbrzmiewa mój.

Ty nie wiesz, że gdy z uczuć płomiennych twych ogniska
Akordem zgodnie brzmiącym miłości hymn wytryska
I nad głosami świata potęgą tonu trwa,
Ten hymn, co w ustach twoich jak słodka brzmi piosenka,
Na strunach duszy twojej wygrała moja ręka,
Żeś ty narzędziem jeno, a twórcą jestem ja!

Ty nie wiesz, że gdy fala niezmierna i gorąca
Twych pragnień niezniszczonych o świata brzegi trąca
I wraca uciszona w bezwiednych żalów ton —
Ty nie wiesz, że naonczas pobudkę swą namiętną
Do ruchu i do życia natury bije tętno
I drganiem przepotężnem twych piersi wstrząsa dzwon.

S. H.

*) Zamieszczamy oba te wiersze razem nietylko ze względu na pokrewieństwo ich treści, lecz i dla ciekawego porównania: pierwszy jest utworem matki, a drugi — córki. *Red.*

O PRAWDĘ.

Ordynaryusze-wyrobnicy.

Szanowny Panie Redaktorze! Po przeczytaniu zamieszczonych w *Gazecie Polskiej* zdań w kwestyi coraz to zwiększającego się wychodźtwa naszych wyrobników, przesyłam kilka zdań w tym przedmiocie.

Sferą, z której się rekrutuje nasz wyrobnik, jest, mojem zdaniem, rzesza ordynaryuszów.

Mówię to dlatego, że stan małej własności, jakkolwiek dostarcza masom wyrobniczym pewnych odsetek, to jednak porzucaniu tej sfery towarzyszą zwykle: materyalna ruina, spowodowana lichwą, działami ojcowizny, nieznajomością prowadzenia gospodarstwa, a nawet lekkomyślnością i życiem zbytkownem, nigdy zaś dobra wola, gdyż stan wyrobniczy nie może nęcić drobnego posiadacza rozleglejszą skalą swych przywilejów. Inaczej mówiąc, nazwę wykolejonych posiadaczy drobnej własności wyrobnikami z musu!

Całkiem odmiennie rzecz się ma w sferze ordynaryuszów, których wyzucie z prawa nadziei doczekania lżejszego jutra wydało właściwie osobnika zwanego wyrobnikiem.

Wyrobnik więc jest pierwszem stadyum na drodze udoskonalenia naszych ordynaryuszów, on to bowiem poczuł w sobie ten hart ducha, który mu pozwolił poczucie niezależności i swobody przełożyć nad zapewnione jutro w służbie.

Gdybyśmy mogli w chwili ściągania się ordynaryusza w szeregi wyrobników odczuć jego myśli, ujrzelibyśmy całą moc podobieństwa ich z tęsknotą żywionego w klatce ptaka.

Ponieważ w stanie wyrobniczym prawie wyłącznie reprezentowaną jest klasa ordynaryuszów, na położenie więc, w jakiem się ci ostatni znajdują, muszę zwrócić uwagę. Dają się słyszeć głosy nawet ziemian, zalecających podwyższenie uposażenia swej służby; ja jednak do tych drgnień serc braci ziemiańskiej nazbyt wielkiej wagi przywiązywać nie mogę, bo przypuszczam, że ten tylko ma prawo, ażeby liczono się ze szczerością jego głosu, kto wypełnienie obiecanych przez się warunków utrzymania służby poczytuje za swoje szczęście, kto spełnianie przyjętych na się zobowiązań uważa za punkt, około

którego przez całe lataześrodkowywują się jego myśli i dążenia, kto wreszcie powinności swoje rzetelnie spełnił. Ci zaś wszyscy, którym możliwość niespełniania zobowiązań względem służby spokoju nigdy nie zamąciła, niech się nie ważą twierdzić, że oni są za podwyżką wynagrodzenia, niech wbiją sobie w głowę, że tylko rzetelna dbałość chlebodawcy o dobro pracownika może ulżyć dolę ordynaryuszów, przywiązując ich do swego pana, oraz pozwoli im weselej spoglądać w przyszłość.

A teraz rozpatrzmy pozycye owego wynagrodzenia ordynaryuszów:

1) Zadatek przy zgodzie, czyli „kolęda" 1 rb.

2) Pensya roczna 15 rb.

3) korzec pszenicy po 5 rb., żyta 5 korcy po 4 rb., jęczmienia 4 korce po 3 rb., korzec grochu 3 rb. = 43 rb

4) 100 prętów pola pod kartofle, licząc z morgi 70 korcy po 90 kop., potrąciwszy koszty omotykowania, wykopania i nasienia, dadzą 14 rb.

5) Zagon pod kapustę 3 rb.

6) Opał — dwa sągi drzewa po 4 rb. — 8 rb.

7) Mieszkanie 6 rb.

8) Za głodzenie jednej krowy na dworskiej oborze podczas latowiska 2 rb., zimowiska 5 rb., razem 7 rb.

9) Utrzymanie prosiaka 1 rb.

Zatem w sumie ogólny koszt utrzymania ordynaryusza w miejscowościach niefabrycznych wynosi 98 rb. Biorąc jednak pod uwagę wahania się co do wydzielanego zboża między jedenastoma i trzynastoma korcami, przestrzeni wydzielanej ziemi pod kartofle między 100 i 150 prętami, prawa utrzymania ilości krów do dwu najwyżej, oraz, przeznaczając na uświęcone miejscowym zwyczajem dodatki 5 rb., widzimy, że przeciętne roczne wynagrodzenie naszego fornala-ordynaryusza wynosi 127 rb.!

O ile zaś wyżej wymienione roczne wynagrodzenie odpowiada potrzebom tych ludzi, mogłaby świadczyć ta okoliczność, że rozmiar ich oszczędności zaledwie wystarcza im zaopatrzyć się na stare lata w sakwy i kij żebraczy, obie rzeczy jakby dla nich stworzone!

Jedynem źródłem, z którego ordynaryusz prawnie mógłby czerpać poważny dochód, byłaby krowa, gdyby ogół ziemian zechciał zrozumieć, że obiecywać służącemu utrzymanie krowy — jest to dostarczać jej przez zimowe miesiące dziennie przynajmniej po 4 garnce okopowych oraz po 15 funtów siana z koniczyny, podczas zaś pozostałych miesięcy — również obfitą porcyę paszy zielonej dziennie; a wówczas krowa mogłaby dawać dochodu do 60 rb. rocznie. Cyfrę tę trzebaby zwiększyć o ilość dochodu, stworzonego przez odpowiednie żywienie prosiaka, a nie mylimy się chyba, twierdząc, że tylko dzięki wypełnianiu zobowiązań przez ziemian utrzymanie ordynaryuszów podniosłoby się o jakie 70 rb. rocznie, co w porównaniu z teraźniejszą skalą mogłoby stanowić bardzo poważną nadwyżkę.

A więc niechaj brać ziemiańska raz nareszcie zwróci na to uwagę, że utrzymywać krowę służącemu jedynie na sieczce ze słomy w porze zimowej i bez żadnych dodatków paszy zielonej w porze letniej — to się zwie poprostu głodzeniem, i że takie praktyki zasłużyć mogą na surową naganę ze strony potomności. Boć przecież podobne postępowanie jest zmuszaniem poprostu służby naszej do nadużyć, a więc chociażby dla uniknięcia ich należy je zmienić, a wówczas można być spokojnym o to, że pracownicy takiego chlebodawcy nie opuszczą.

Jeżeli więc ordynaryusze nie zdołają nic oszczędzić na starość, to z jakiejże racyi dziwić się można wyrobnikom, niemającym zapewnionego jutra, a nawet stałej pracy, że pomimo nawet bardzo ograniczonych swych wymagań muszą się przed groźnem widmem głodu udawać po zarobek do obcych. Zarobek wyrobników naszych, biorąc pod uwagę brak jego ciągłości i nieuskuteczniane wypłat ani codziennie, ani regularnie, dochodzi do tak przerażająco małej cyfry, że stanowić może zaledwie trzecią część przeciętnego kosztu utrzymania ordynaryuszów. To stosuje się do mężczyzn; położenie wyrobnic jest jeszcze gorsze.

Oddawać się więc melancholijnym medytacyom nad tem, że nasz bocian podczas zimy lub nawet późnej jesieni będzie miał u nas obfitsze śniadanka, niż w Egipcie, byłoby to samo, co silić się o wykazanie, że wyrobnikowi naszemu odlot w obce strony nie zapewnia korzyści materyalnych.

Wyrobnik nasz jest chyba aż zanadto obeznany ze swojskiem tętnem współczucia, ażeby liczył na pokrywanie swoich niedoborów po powrocie od obcych z powyższego źródła; wie on, że na nic liczyć nie może, więc zbiera się z roku na rok w coraz większe stada, aby lecieć za żerem w inne strony, a te peryodyczne odloty wykazują, że musi on widzieć w nich swoją korzyść, bo trudno przypuścić, ażeby jedynie chciał tem dokuczyć swym opiekunom-ziemianom.

Gdyby ktoś zechciał dowodzić, że wyrobnicy nasi wracają do domu z pieniędzmi dzięki jedynie zwyczajowi obcych chlebodawców zatrzymywania części zarobku do ostatecznego obrachunku, na to odpowiem, że wyrobnik na wychodnem musiałby uregulować swe rachunki i powróciłby z próżną kieszenią i w tym wypadku, gdyby zarobek jego nie przewyższał wydatków.

Dotknąwszy najważniejszej przyczyny, powiększającej liczebność zastępów wyrobnictwa, proponuję następujące środki zapobiegawcze dla powstrzymania odpływu naszych rąk roboczych w obce strony:

1) Staranność w wychowaniu odpowiedniejszych chlebodawców.

2) Zamianę morga, czyli ziemiańskiej skali do oceniania wartości bliźniego, na ścisłe spełnianie obowiązków względem swej służby.

3) Niegłodzenie krów służby.

4) Uskutecznianie wypłat najmu chociażby codziennie i niezaleganie w nich.

5) Zakładanie zagród wzorowego gospodarstwa.

6) Wyjednanie pozwolenia na jaknajrozleglejszą liczbę szkół wiejskich fachowych i założenie ich z funduszów, zebranych drogą składek.

7) Ubezpieczanie naszych sług na starość.

8) Zorganizowanie towarzystwa, którego zadaniem byłoby wyszukiwanie pracy dla bezrolnych.

Ocierając się o rzesze wyrobnicze, rzucam tych kilka słów choć gorzkiej, jednak z serca płynącej prawdy w szeregi ziemian z nadzieją, że one wywołają tak odpowiedni czasowi akt skruchy i staną się jutrzenką, zwiastującą mocne postanowienie niegrzeszenia więcej choć w części szeregów braci ziemiańskiej, tak skłonnej do chełpienia się należeniem do chrześciaństwa.

Ziemianin.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych w d. 5 stycznia r. b. zatwierdziło ustawę Towarzystwa wzajemnej pomocy guwernantek i nauczycielek w Rydze.

— W uniwersytetach rosyjskich, jak donoszą pisma, przerwane lekcye zakończyły się ze strony władz następującemi rozporządzeniami: w Petersburgu przyjęto 78 studentów wydalonych, skazawszy ich na napomnienia i areszt. W Moskwie 101 już przyjęto, a 64 (wydalonych bez prawa powrotu) ma być tylko ukaranych podobnie. W Kijowie polecono wydalonym studentom podawać prośby których uwzględnienie zależeć będzie od zwierzchności szkolnej. W Odesie uczestnikom zmowy wyrażono tylko naganę zarządu uniwersyteckiego.

— W ciągu 2 pierwszych miesięcy r. b. powstało w Cesarstwie, na zasadzie ustawy wzorowej, 30 nowych towarzystw straży ogniowych ochotniczych.

Szkoły. Według zapewnienia pism, sprawa założenia w Moskwie uniwersytetu dla kobiet z wydziałami: lekarskim, przyrodniczym i matematycznym bliską jest urzeczywistnienia. Początkowo będzie otwarty tylko jeden wydział. Na urządzenie uniwersytetu Astrekow zapisał 100,000 rubli.

Doniesienie urzędowe. Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych z d. 31 marca 1891 r. zaprowadzone w Finlandyi cesarskie znaki opłaty pocztowej, lecz z pewnem odróżnieniem w postaci krążków biadych, celem wskazania, że dochód z nich wpływa do skarbu finlandzkiego. Wobec ustalenia kursu rubla, drukowanie tych krążków uznano obecnie za niepotrzebne, a więc, po wyczerpaniu ich, finlandzkie urzędy pocztowe będą do opłaty korespondencyi zaopatrzone w ogólne cesarskie znaki pocztowe bez jakichkolwiek szczególnych odróżnień zewnętrznych, zgodnie we wszystkiem z przytoczonem wyżej postanowieniem ministra spraw wewnętrznem z d. 31 marca 1891 roku.

Ofiary. Pan Karol Dittrich, główny właściciel Towarzystwa zakładów żyrardowskich p. f.. Hielle i Dittrich, przy sprzedaży akcyj, szpital dla robotników ofiarował nabywcom zakładów, aby instytucyę w dalszym ciągu zachować dla robotników. Równocześnie ofiarował na rzecz wszystkich pracowników biurowych i fabrycznych kwotę 800,000 rb., która będzie użyta w sposób następujący: każdy z pracowników, stosownie do liczby lat służby i pensyi, otrzyma wkład, który od dnia 1 stycznia przynosi 5%. Może go podnieść, opuszczając służbę w fabryce. W razie śmierci pracownika pieniądze otrzyma rodzina.

Zdrowie publiczne. *Gazeta Lekarska* podaje następujące wiadomości: W Warszawie od dawna już panuje stale tyfus wysypkowy. W ostatnich wszakże latach zdarzyły się już tylko pojedyncze wypadki, świadczące, że epidemia bynajmniej nie wygasła. Obecnie daje się zauważyć pewne, dość znaczne wzmożenie epidemii, cechujące się nietylko wzrostem liczby wypadków pojedynczych, lecz nawet utworzeniem się kilku ognisk większych. Tak naprzykład w pewnym domu przy ulicy Wroniej zachorowało kilka osób, z których 7 należy do jednej rodziny, a w przytułku noclegowym na Pradze zdarzyło się w ostatnich dniach również kilka wypadków tyfusu wysypkowego. Szczególnie na to ostatnie ognisko należy zwrócić baczną uwagę; może się bowiem zdarzać, że już dotknięci chorobą, zamiast iść do szpitala, będą jeszcze przez jakiś czas korzystali z pobytu w przytułku, dopóki niemoc ostatecznie ich z nóg nie zwali. Spędzając tam noce, będą zarażali innych, a zmuszeni do opuszczenia przytułku na dzień, mogą się bardzo przyczynić do szerzenia zarazy po mieście.

Konkurs. Wynik konkursu im. Paderewskiego jest następujący: Nagrodę pierwszą w kwocie 1,000 rb. przyznano pięcioaktowej baśni dramatycznej wierszem, p. t: „Zaczarowane koło" (autor: Lucyan Rydel); drugą 500 rb. dramatowi w 5 aktach p. t.: „Gołąbka biała" (autor: Józefat Nowiński): trzecią 300 rb. 4-aktowej sztuce p. t.: „Karykatury" (autor: Jan August Kisielewski, pseudonim August Olch); czwartą 200 rb. 4-aktowej sztuce p. t.: „Zgaszeni" (autor Bohdan Jaxa Ronikier). Nadto przyznano zaszczytne odznaczenia sześciu utworom w porządku następującym: „Złudzenia," dramat w 4 aktach (autor: Włodzimierz Lewicki); „Ojciec i syn," sztuka w 5 aktach (autor: Bohdan Jaxa Ronikier); „Burza," fantazya dramatyczna w 5 aktach (autor: Ignacy Grabowski); „Którędy?," sztuka w 4 aktach (autor: Jonasz Korczak, pseudonim: „Tyberyusz," tragedya w 5 aktach (autorka: Marya Zawiszyna); „Iwan Groźny," tragedya w 5 aktach wierszem (autor: Stażża, pseudonim).

Odpowiedzi Redakcyi.

Łodzianinowi. Uwagi Pańskie są słuszne a wycinki istotnie dowodzą, że ten mistrz znajduje się jeszcze w okresie wielkich wątpliwości gramatycznych, ale czy my możemy wyławiać wszystkie niedorzeczności dziennikarskie i robić z nich wystawę w *Prawdzie?* Od kilku tygodni nawał materyału [illegible] odcinka powieściowego; czy wobec tego można zajmować się drobiazgami?

— Komitet Zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia dr. J. Mianowskiego ma zaszczyt do powszechnej podać wiadomości, iż zmarły d. 9 listopada 1891 r. Władysław Pepłowski uczynił Kasę Pomocy spadkobierczynią swego majątku, od którego dochody przeznaczył na popieranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, po

prawnym językiem polskim. przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników. zastosowane do potrzeb miejscowych, na czasie, tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tem polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa pomocy właściwe zezwolenie Władzy rządowej uzyskała. Komitet Zarządzający Kasą oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżej wyłuszczonym określeniom i warunkom, celem zapewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebnem i możliwem. Osoby. pragnące uzyskać dla swych dzieł czy nakładów pomoc pieniężną, proszone są o zgłaszanie się osobiste do biura Komitetu Kasy Pomocy w Warszawie, przy ulicy Niecałej nr. 7 lub o nadsyłanie pod tymże adresem żądań, wyłuszczonych na piśmie.

Prezes Komitetu: *H. Struve.*

Członek Komitetu Sekretarz: *Feliks Kucharzewski*

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 18 Марта 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.